

## **MINIKONGRES PUERI CANTORES NA 20-LECIE CHÓRU Z LIMANOWEJ**



Fot. Lila Król

**Miał szacunek dla innych  
- Artur Struzik**

**Wspomnienie**

**o Prof. Henryku Jurowiczu**

**Kolego z klasy Jana Pawła II**

**Z perspektywy przeżytych lat**

**- Rudolf Zaczyński**

**Losy limanowskiej rodziny  
zapisane na kartach historii  
- Klementyna Zubrzycka**

**Trwał do końca na posterunku**

**- o Leopoldzie Winterze**

**Opowieść o losach  
Franciszka Pankiewicza**





**20-lecie Chóru Chłopięcgo  
Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej  
w Limanowej**







Proboszcz ks. prałat Wiesław Piotrowski wita zgromadzonych na uroczystościach jubileuszowych.

*Podnieście Krzyż, Miłości Pana Znak,  
Niech będzie uwielbiony Jezus Chrystus*

## Minikongres Pueri Cantores na 20-lecie chóru z Limanowej

Wprowadzeniem Krzyża Polskiej Federacji Pueri Cantores rozpoczęły się obchody 20-lecia działalności Chóru Chłopięcego Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Obecny był także obraz Matki Boskiej Kodeńskiej, której w 2010 r. Federacja została oddana w opiekę. Jasnogórski Chór Dziewczęcy Filiae Mariae (*dyr. Mariola Jeziorowska*), Chór Chłopięco-Męski Bazyliki Kaliskiej (*dyr. Marek Łakomy*), Chór Scherzo z Nowego Sącza (*dyr. Andrzej Citak*) i gospodarze wspólnie wykonali jakże piękną *Mszę g-moll* ks. A. Chlondowskiego (szczególnie mi bliską, śpiewała ją przed laty moja Mama z chórem z Pasierbca). Mszy św. przewodniczył

i podsumował uroczystość prezydent Międzynarodowej Federacji Pueri Cantores ks. prał. dr Robert Tyrala, kazanie wygłosił prezydent PFPC ks. dr Piotr Paćkowski. Obecni byli: ks. prof. Andrzej Zajac - założyciel Polskiej Federacji PC i obecnie jej honorowy prezydent, ks. Jan Zajac - gospodarz na Snieżnicy, ks. Tomasz Płóciennik - opiekun chóru z Kalisza, ks. Bogusław Soleński - przed laty opiekun chóru limanowskiego, ks. Stanisław Adamczyk - dyrygent Pueri Cantores Sancti Nicolai z Bochni, ks. Marcin Byś - kilkudniowy opiekun naszego zespołu podczas wyjazdu na Litwę, ks. Paweł Król - były chórzysta. Wszystkich przywitał gospodarz

miejsca ks. prał. dr Wiesław Piotrowski. Chóry zaprezentowały się też indywidualnie podczas Przygotowania Darów i Komunii św. Na Dziękczynienie prezydent PFPC, dyrygent, chórzysta i przedstawiciel rodziców ponowili Akt Oddania Matce Bożej.

Po Mszy św. rozpoczął się Koncert-Misterium Pueri Cantores w holdzie Bł. Janowi Pawłowi II. Śpiewy poszczególnych zespołów przeplatane były rozważaniami przygotowanymi przez asystenta PFPC ks. Wiesława Hudka z diecezji sosnowieckiej. Prowadził je opiekun naszego chóru ks. Daniel Świątek. Cytowane przez niego słowa Bł. Jana Pawła II wsparte były wizualnie na ekranie. ►

**Na stronie 2: U góry - Główny celebrans - prezydent Międzynarodowej Federacji Pueri Cantores ks. prał. Robert Tyrala. Po lewej - Zespół „Limanowianie” składa gratulacje. Po prawej - Jubilaci. Poniżej - Dyrygenci (od lewej) Andrzej Citak, Mariola Jeziorowska, Halina Dyczek, Marek Łakomy.**





Uczestnicy: Filiae Mariae z Jasnej Góry, Chór Chłopięco-Męski Bazyliki Kaliskiej, Chór „Scherzo” z Nowego Sącza, Chór Chłopięcy z Limanowej.

► Misterium podzielone było na pięć Obrazów zatytułowanych: Maryja, Miłość, Zmartwychwstanie, Eucharystia, Bierzmowanie. Nastrój kontemplacji udzielił się słuchaczom. Po ostatniej części wspólnie została wykonana *Barka*, podczas której przedstawiciele każdego zespołu złożyli kwiaty i znicze przed pomnikiem Bł. Jana Pawła II. I dopiero wtedy rozległy się oklaski. Na zakończenie zabrzmiała pieśń *Misericordias Domini*

skomponowana specjalnie na 34. Międzynarodowy Kongres Pueri Cantores w Krakowie. Chórom towarzyszyła na organach Edyta Lachor-Mitkowska, naszemu zespołowi - solistki: sopran Anna Moszycka (w pięknym *Panis Angelicus* C.Francka i wzruszającym *Ave Maria* Bacha-Gounoda) oraz flecistka Joanna Jaworz-Dutka.

Oklaski rozległy się również podczas podziękowań ks. prał. Józefowi Porębie za otwartość i przychylność w ciągu tych 20 lat. Moją wdzięczność wyraziłam również ks. prob. Wiesławowi Piotrowskie-

mu za pomoc w przygotowaniu uroczystości, Opiekunom chóru, Zarządom Stowarzyszenia, przyjezdnym zespołom, moim Przyjaciołom z limanowskiej szkoły muzycznej i Nowego Sącza, Rodzicom chłopców, limanowianom, sponsorom, samorządowcom, mojej rodzinie i przede wszystkim ukochanym chórzystom sprzed lat i obecnym! To Oni byli głównymi bohaterami jubileuszu.

Na spotkaniu w Domu Pielgrzyma nastąpił ciąg dalszy podziękowań. Szczególnie wyróżnieni przez burmistrza miasta Władysława Biedę i przewodniczącą



Gratulacje przekazują: przewodnicząca Rady Miasta Irena Grosicka oraz burmistrz Władysław Bieda.

Spotkanie w Domu Pielgrzyma.





Rady Miasta Irene Grosicką zostali: ks. Bogusław Soleński, Roman Wilk, Mirosław Twaróg, Kazimiera Wrona, Adam Mazuga, Anna Kubica, Barbara Janczy, Edyta Lachor-Mitkowska, Joanna Jaworz-Dutka, Lucjan Bożek i moja skromna osoba. Zarząd Stowarzyszenia podziękował ks. Józefowi Porębie, ks. Wiesławowi Piotrowskiemu, ks. Danielowi Świątkowi, Marcie Wójtowicz, Elżbiecie Zegarskiej, Dorocie Miodońskiej, Piotrowi Mamakowi, Zdzisławowi Florkowi oraz Firmie Efect (głównemu sponsorowi).

Przedstawiciele różnych środowisk limanowskich i goście spoza składali na moje ręce chórowi gratulacje. Miłą dla mnie pamiątką jest album stworzony przez chłopców ze zdjęciami i ich osobistymi dedykacjami, które mogłam przeczytać dopiero nazajutrz. Wzruszyły mnie niezmiernie.

Wzruszającym było także spotkanie z byłymi chórzystami. Czupryny nie tak obfite jak dawniej, gdzieniegdzie srebrne nitki we włosach... Ale poczuliśmy się jak przed laty. Brakowało: „Proszę o spokój, zaczynamy próbę”. Nie wykluczone, że tak się stanie...

Z okazji jubileuszu chór wydał nową płytę pt. „Jam jest kamieniem w mozaice Twej”, którą uczestnicy spotkania mogli zakupić jako cegiełkę na rzecz rozwoju zespołu. Na pamiątkę uroczystości dla parafii został ufundowany przez rodziców haftowany ornat.

Następnego dnia chóry: jasnogórski, kaliski i limanowski wyruszyły do Kopalni Soli w Bochni, zwiedziły Zamek w Wiśniczu, dworek rodziny Matejki oraz kościoły w Lipnicy Murowanej. Po powrocie rozegraliśmy mecze piłki nożnej (znowu wygraliśmy z Kaliszem, po raz trzeci!) i siatkowej z dziewczętami z Jasnej Góry. Dzień zakończył się grillem i dyskoteką, podczas której niezwykle zdolności wodzirejskie zaprezentował ks. Daniel.

W niedzielę Chór Bazyliki Kaliskiej zaśpiewał w Sanktuarium Pasierbieckim a Filiae Mariae w limanowskiej bazylice.

Po obiedzie pożegnaliśmy się, życząc sobie: do zobaczenia!

**Dziękuję wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób wsparli organizację obchodów, a byli to:** FHU Efekt, Zakłady Mięsne „Szubryt”, Bank Spółdzielczy w Limanowej, Platinum Orlen Oil, Urząd Miasta Limanowa, Firma „Jarecki”, Firma Gold Drop, Apteka „Centrum”, NS Studio, NOWPOL2, FGPHU „Jackówka”, Stowarzyszenie Miast i Gmin Partnerskich Limanowej, Zegarmistrz-Jubiler TIK-TAK, Gabinet Stomatologiczny Zegarski, Ignacy Włodarczyk, FHU Plastuś, Apteka „Hygieja”, Firma Budowlana „Gurgul”, PHU „Kasztanek”, Firma „ZZ” S.JPPHU Nowy Sącz, OSM w Limanowej, Maf Media Nowy Sącz, PKS Pasyk Gawron, Krzysztof Śliwa oraz osoby, które nie chcą ujawniać przed światem swojego dobrego serca. Wszystkim serdecznie dziękuję!

Wdzięczność kieruję do ks. prał. dr. Wiesława Piotrowskiego za przyjęcie chórów na nocleg w Domu Pielgrzyma i wszelką życzliwość w przygotowaniu jubileuszu.

**Tekst: Halina Dyczek  
Fotografie: Lila Król**



Dyrygentka Halina Dyczek z Wychowankami.





# Szkoła im. ks. Józefa Tischnera

Wybór patrona jest zawsze ważnym momentem w życiu społeczności szkolnej. To nie tylko zmiana nazwy szkoły, ale przede wszystkim wybór właściwej osoby, której życie, dokonania i poglądy mają stać się wzorem do naśladowania dla wielu pokoleń młodzieży.

W naszej historii nie brak nazwisk osób, które pozytywnie zapisały się w ludzkiej pamięci. Jedną z nich był niewątpliwie ksiądz profesor Józef Tischner – kapłan, filozof, intelektualista, góral „z krwi i kości”. W środę 27 kwietnia br. społeczność Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych w Limanowej oficjalnie przyjęła jego imię.

Uroczystość rozpoczęła się mszą św. w Bazylice Matki Boskiej Bolesnej. Celebryze przewodniczył ks. bp Wiesław Lechowicz, który poświęcił sztandar szkoły oraz wygłosił homilię. W głoszonym słowie nawiązał do życia, myśli i nauki ks. Tischnera.

Fotografie: archiwum szkoły





Po przejściu gości z bazyliki do szkoły odbyła się uroczystość poświęcenia przez biskupa Lechowicza pamiątkowej tablicy z popiersiem ks. prof. J. Tischnera oraz nadania szkołom wchodzącym w skład ZSOiZ imienia ks. prof. Józefa Tischnera.

Odsłonięcia tablicy dokonała dyrektorka zespołu szkół Maria Szkarłat. Gośćmi honorowymi uroczystości byli bracia ks. prof. Tischnera – pan Kazimierz Tischner oraz pan Marian Tischner z małżonką. Swoją obecnością uroczystość uświetnili m.in.: Małopolski Kurator Oświaty-Aleksander Palczewski, parlamentarzysta, przedstawiciele samorządów, dyrektorzy zaprzyjaźnionych szkół i współpracujący przedsiębiorcy.

*Po bardzo burzliwych i twórczych dyskusjach w poszukiwaniu patrona na miarę naszych czasów, pasującego do klimatu i atmosfery szkoły, a przede wszystkim do ideału wychowawczego, jaki nam przyświeca, wybraliśmy wybitnego człowieka, filozofa i niezwykłego duszpasterza - księdza profesora Józefa Tischnera. Książkę prof. Tischner uczył młodych ludzi odpowiedzialności życiowej, rzetelnej pracy, szacunku i poszanowania drugiego człowieka. - mówiła pani Maria Szkarłat, dyrektorka zespołu szkół.*

Akty nadania imienia ks. prof. Józefa Tischnera szkołom ZSOiZ odczytał Aleksander Palczewski – Małopolski Kurator Oświaty, który przekazał je na ręce pani Janiny Dudzik – dyrektorki ds. dydaktycznych.



Młodzież Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych wręcza kwiaty dyrektor Marii Szkarłat.

*„Wyjątkowym zaszczytem i honorem jest dla naszej społeczności szkolnej nadanie imienia ks. prof. Józefa Tischnera” – powiedziała pani Janina Dudzik. Wybór patrona kładzie na nas obowiązek sprostania wymaganiom, które sam sobie stawiał w swoim życiu i pracy, pracy ambitnej, twórczej, wyrazistej, której towarzyszyło przesłanie „Niebo rośnie na miarę naszej dzisiejszej miłości”.*

Podczas uroczystości pan Marian Tischner wspominał o przyjaźni i ogromnym zaufaniu, jakim darzył patrona Ojciec Święty Jan Paweł II.

Głos zabrał również pan Kazimierz Tischner – ojciec rodziny Szkół Tischnerowskich, który nie krył radości z przy-

stąpienia do niej kolejnej szkoły. ZSOiZ w Limanowej został 36. placówką noszącą imię ks. prof. Józefa Tischnera. Na znak ciepłego powitania w nowej rodzinie pani dyrektor Maria Szkarłat otrzymała góralski kapelus – symbolizujący narodziny szkoły.

*Mamy nadzieję, że stanowi ona początek nowej drogi naszej szkoły, podczas której wartości, jakimi kierował się nasz Patron: solidarność, wierność prawdzie, jak mówił: „Prze-trwa ten, kto wybrał świadczenie prawdom oczywistym”, będą zachęcać nas wszystkich do ciągłego rozwoju i tworzenia trwałych wartości intelektualnych i duchowych. – podsumowała pani Maria Szkarłat.*





# Jest książka papieska

Sławek Łużny

Po wielu zewnętrznych problemach i okolicznościowych przeciwnościach, ujrzało światło dzienne kolejne wydawnictwo działającego przy bibliotece Limanowskiego Klubu Literackiego. Jest ono tematycznie poświęcone błogosławionemu Janowi Pawłowi II. Książka nosi tytuł *KIEDY ZAMILKŁY DZWONY*. „Jan Paweł II w moim życiu i pamięci” – taki był temat przewodni nakreślony autorom tekstów. 20 osób – członkowie LKL-u i kilku przyjaciół biblioteki – postanowiło go podjąć. 24 maja w limanowskiej MBP odbyło się spotkanie promocyjne tego nietypowego – i pionierskiego chyba w naszym regionie – wydawnictwa.

Spotkanie otworzyła i powitała wszystkich zebranych gości gospodarz ksiąŜnicy Halina Matras. Specjalne powitania skierowała do obecnego po raz pierwszy na imprezie kulturalnej w bibliotece księŜda prałata dr. Wiesława Piotrowskiego. Opowiedziała zebranym o całym tym przedsięwzięciu, jakim był najpierw zamysł – potem realizacja – a ostatecznie efekt finalny, czyli wydawnictwo papieskie limanowskich literatów. *Staraliśmy się, by w jakiś sposób uczcić osobę, życie, dzieło i wielkie dokonania naszego wspaniałego Rodaka. Mieliśmy świadomość jako wydawca - jeszcze przed przystąpieniem do prac nad książką - jak wiele różnorodnych opracowań już powstało i ciągle powstaje na Jego temat. Ale założyliśmy, że niby dla czego i my nie mielibyśmy się przyłączyć do takich działań, nie przygotować i nie wydać jakiejś fajnej „antologii papieskiej”, nieszablonowej i cennej dla naszego lokalnego środowiska i nas samych w końcu? Czegoś, co będzie pomysłowe tematycznie i nieszablonowe literacko; co będzie rezonować – tak wierzymy – dość silnym echem pośród limanowian i mieszkańców okolicy. Chcieliśmy wydać książkę z tekstami, które będą trzymać się z daleka od sztampy i rodzajowego w takim wypadku patosu. Ale i z drugiej strony będą jakiś osobisty, literacki przejaw autorskiego holdu czy uznania dla*



„Staraliśmy się, by w jakiś sposób uczcić osobę, życie, dzieło i wielkie dokonania naszego wspaniałego Rodaka” - mówiła w czasie promocji dyrektor Halina Matras.

*osoby, życia i dokonań tej wielkiej, pięknej postaci. Ta książka też w jakiś sposób w naszym zamysle jeszcze ściślej miała związać osobę papieża z naszym miastem i Ziemią Limanowską. Państwo sami ocenicie, zrecenzujecie i uznacie, czy nam się to wszystko udało.* – podsumowała Halina Matras i poprosiła o zabranie głosu księŜda prałata Piotrowskiego. *Spotkałem osobiście kilka razy w swoim życiu Ojca Świętego. Zawsze był zatroskany o człowieka, o to czy ten człowiek żyje w przyjaźni z Chrystusem. Istotne było dla niego dobro człowieka, który idzie codzienną drogą, jasną drogą ku Chrystusowi. Zdażyłem się zapoznać już z niektórymi tekstami w tej książce i to przesłanie jest też tu obecne. Jan Paweł II zawsze cenił człowieka, właśnie dlatego, że był dzieckiem bożym. Wszystkim tu zebranym Państwu życzę, aby ta lektura – to swoiste spotkanie z Ojcem Świętym w tej książce, pomagała nam w zbliżeniu do Boga. Niech Jan Paweł II zawsze zbliża nas do Jezusa.* – mówił księŜda prałat. Następnie zaprezentowano multimedialny pokaz. Była to prezentacja z muzycznym podkładem, składająca się z fragmentów tekstów każdego autora w połączeniu ze zdjęciami autorstwa Bogdana Skrzekuta i Kuby Toporkiewiczza, którzy też użyczyli swoich pięknych fotografii do książki.

Przed prezentacją, w trakcie jej emisji oraz na zakończenie części oficjalnej spotkania, limanowski podróżnik Marek Dudek pokazał trzy górsko-przyrodnicze etiudy filmowe swego autorstwa, które – w połączeniu z jego ciekawym komentarzem – bardzo plastycznie wpisały się w część „artystyczną” całego spotkania. Ponadto zaprezentował też wszystkim zebranym fotoreportaż składający się z cyklu slajdów – pierwszy raz pokazywanych publicznie! – dokumentujących przejazd Ojca Świętego przez Limanową (i krótki postój przed bazyliką) w drodze do Starego Sącza w 1999 roku. Cały ten multimedialny pokaz musiał chyba przypaść do gustu audytorium, bo dało się wyłowić podczas niego ciche szmery uznania, zadowolenia i komentarze niosące się po sali. Po jego zakończeniu dyrektor biblioteki zwróciła się do autorów tekstów i zespołu redakcyjnego. Serdecznie i gorąco dziękowała im za włożony trud we wszelkie prace związane z napisaniem ich i przygotowaniem wydawnictwa do druku. Swoje słowa uznania i podziękowania skierowała również do wszystkich autorów zdjęć zamieszczonych w *KIEDY ZAMILKŁY DZWONY*. Znacząco ubogacają one i podnoszą wysoko wartość estetyczną książki. Podziękowania trafiły także do władz miasta, dzięki którym wydawnictwo to w ogóle mogło





Podczas promocji można było nabyć publikację.

ujrzeć światło dzienne. *Ogromnie się cieszę, że tego popołudnia mogę być tutaj z Państwem. Całą tą częścią artystyczną i prezentacjami wytworzony został taki piękny i potrzebny czasem nastrój melancholijny, gdzie człowiek choć na chwilę może się zatrzymać, wyciszyć, zastanowić, zadumać czy*

*pomilczeń. Mnie osobiście bardzo to było potrzebne. – mówiła Przewodnicząca Rady Miasta Irena Grosicka. Wszystkim autorom bardzo dziękuję i gratuluje, że podjęli się tego trudu przygotowania tekstów do książki papieskiej. Jeśli tylko to będzie ode mnie zależeć personalnie, to zawsze takie wydawnicze inicjatywy będą wspierać.* Głos zabrali też niektórzy z literatów i zaproszenie goście. Część oficjalną spotkania zakończyło wspólne zdjęcie autorów, osób zaangażowanych w wydanie tej książki oraz władz miasta i powiatu. Rozpoczęły się kulturalowe dyskusje, wywiady, rozdawanie i zbieranie autografów, fotosesje i tym podobne rodzajowe sytuacje.

No, fajne to spotkanie było. Ciepłe jak aura na zewnątrz tego dnia, spokojne jak beskidzka łąka na jednej z etiud Marka, serdeczne jak uśmiech Rodaka, gdy powiedział w Wadowicach gdzie i na co chodził po maturze...

\*\*\*

Książka *KIEDY ZAMILKŁY DZWONY* jest stylistycznie różnorodna. Są tutaj opowiadania, eseje, relacje i reportaże, poezja, jest nawet jeden tekst będący fikcją literacką opartą jednak o realne fakty i zdarzenia. Atrakcyjne dla czytelnika powinny prócz tekstów okazać

się również zamieszczone w wydawnictwie fotografie. Są ich tutaj niejako dwa typy. Jedne – autorskie, pochodzą z prywatnych archiwów. Dopełniają one i ubogacają same teksty niektórych autorów (są tu m.in. nigdzie dotąd niepublikowane fotografie Jana Pawła II!). Drugie – bardziej artystyczne, zamieszczone są pomiędzy tekstami. Autorami tych drugich fotografii jest tandem młodych, znanych w limanowskim środowisku tutejszych fotografów - Kuba Toporkiewicz ([www.toporkiewicz.pl](http://www.toporkiewicz.pl)) i Bogdan Skrzekut ([www.bogdans.pl](http://www.bogdans.pl)).

**Autorzy tekstów:** Jerzy Bogacz, Jarosław Czaja, Marek Dudek, Władysław Frączek, Ryszard Jabłoński, Władysława Anna Jamróz, Agnieszka Kosecka, Józef Król, Aleksander Majerski, Halina Matras, Jacenty Musiał, Marek Jerzy Stepień, Anna Twaróg, Jan Wielek, Magdalena Włodarczyk, Ks. Stanisław Wojcieszak, Marian Wójtowicz, Zbigniew Kazimierz Wrona, Ks. Jan Zajac, Alicja Zygmunt.

Książkę można nabyć, po niewygórowanej cenie, w limanowskiej bibliotece.

**Fotografie: Bogdan Skrzekut**



Autorzy tekstów zamieszczonych w publikacji „Kiedy zamilkły dzwony” z grupą radnych Rady Miasta.



## Jerzy Zoń w limanowskiej bibliotece



Przy współpracy z ogólnopolskim projektem Dyskusyjnych Klubów Książki, limanowska MBP zrealizowała spotkanie z Jerzym Zoniem, dyrektorem krakowskiego Teatru KTO. Odbyło się ono 4 maja. Spotkanie moderował Zbigniew Sułkowski, prywatnie znajomy zaproszonego i jednocześnie znawca „twórczości” i projektów realizowanych przez KTO.

Na początek zebranych powitała dyrektor biblioteki. Następnie głos zabrał zaproszony gość. Podziękował wszystkim, którzy zdecydowali się z nim spotkać tego dnia w bibliotece. *Dziękuję, że zechcieliście przyjść na spotkanie z człowiekiem teatru. Nie występuję w serialach, nie brałem udziału w You Can Dance, więc nie jestem tak popularny jak ci wszyscy celebryci. I tym bardziej cieszę się, że jesteście tutaj i będziemy mogli podyskutować o sztuce teatru.* – mówił dyrektor KTO. Potem zaprezentowano multimedia z wypowiedziami znajomych, współpracowników i aktorów Jerzego Zonia na temat jego samego. W kolejnym punkcie kilka zdań o Zoniu, jego Teatrze i tych najważniejszych zrealizowanych projektach powiedział Zbigniew Sułkowski. Wyemitowano też fragmenty dwóch spektakli: zaprezentowanego w Limanowej w 1997 roku *Zapachu czasu* oraz *Ślepców* według prozy portugalskiego noblisty José Saramago z ubiegłorocznej premiery na krakowskim Rynku. Między jedną a drugą prezentacją Jerzy Zoń skomentował te spektakle pod wieloma aspektami: od strony scenariusza i reżyserii, aktorskiej, technicznej i wykonawczej. Opo-

wiedział też o innych swoich projektach, które zrealizował, m.in. artystycznej oprawie otwarcia zapory w Czorsztynie, przedstawieniu z okazji 650-lecia Nowego

Targu oraz wielu innych przedsięwzięciach. Następnie odbyła się już standardowa – i dość żywa – dyskusja między nim a zebranymi. Sam Jerzy Zoń – mimo, że zawiaduje Teatrem, który nie korzysta ze sfery języka w swych przedstawieniach – osobiście jest werybalnym „samograjem”. Dawno w bibliotece na spotkaniu autorskim nie było tak zajmująco i merytorycznie opowiadającej osoby.



Władysław Bieda, burmistrz miasta podziękował reżyserowi, wręczając albumy „Okruchy pamięci”.

Potrafi bardzo ciekawie – momentami porywająco – mówić i rozmawiać nie tylko o swoim Teatrze i autorskich spektaklach, ale i o innych, ciekawych i ubocznych sprawach, np. metodyce pracy reżyserskiej i scenariuszowej. I jeszcze jedna, warta podkreślenia rzecz z tym związana: wszystkie te opowieści, które snuje na temat swoich spektakli, aktorów, rozwiązań technicznych i reżyserskich, „absorpcji” swych projektów przez widownię czy ogólnie sztuki teatralnej – wszystko to potrafi opowiadać z autentycznym błyskiem w oku, przejęciem i zadowoleniem, dużą pasją. Wniosek: dla Jerzego Zonia materia i mistyka teatralna jest chyba tym, czym dla zwykłego śmiertelnika azot w powietrzu: czymś, co pozwala oddychać i żyć na co dzień...

Zebrane audytorium pytało go o wiele różnych spraw. O to, czy gdyby zaproponowano mu przygotowanie spektaklu na 100-lecie bitwy pod Limanową – podjąłby się tego? („Z przyjemnością!” - odpowiedział). O metodykę pracy w jego Teatrze. O aktorów: jak się przygotowują do spektakli i jak w ogóle są rekrutowani do KTO. O krakowski Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych, którego jest dyrektorem artystycznym. O kondycję polskiego teatru w ogóle. O to, jaką kolejną adaptację literacką ma w planie zrealizować (*Ponownie José Saramago, tym razem: „Baltazar i Blimunda”*). O te projekty, które okazały się najtrudniejsze do zrealizowania. O to, gdzie najlepiej w świecie – bo KTO i jego przedsięwzięcia to już marka światowa – są przyjmowane jego sztuki („Polska jest w czołówce” - zaznaczył). O wiele innych spraw. Na koniec spotkania burmistrz Limanowej Władysław Bieda podziękował gościowi za przybycie i ciekawe spotkanie, wręczając mu egzemplarze fotoalbumu „Okrucy pamięci”. Jerzy Zoń natomiast – chyba autentycznie zadowolony z tej wizyty w Limanowej – obdarował audytorium aktualnymi katalogami promocyjnymi KTO. W kulisach jeszcze długo rozmawiał z zainteresowanymi.

W lipcu zapewne znów zawita do Limanowej, bo pojawią się tu spektakle plenerowe w ramach MFTU.



**Jerzy Zoń.** Absolwent filologii polskiej, aktor, reżyser teatralny. Założyciel i dyrektor Teatru KTO, znanego już nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Dyrektor artystyczny cyklicznego krakowskiego Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Ulicznych (badając drugi pod względem rozmachu i wielkości tego typu projekt w Europie). Szanowany i ceniony właśnie jako autor i reżyser dużych, rozbudowanych przedsięwzięć teatralnych, realizowanych w plenerze. Ze swoim Teatrem i spektaklami odwiedził już niezliczone miejsca na globie, m.in. Brazylię, Rumunię, Iran, kraje Europy Zachodniej, Skandynawię, Kostarykę, Gruzję, Rosję czy Wielką Brytanię. Współpracował z najlepszymi polskimi aktorami – Dorotą Segdą, Jerzym Stuhrem, Jerzym Trelą czy Zbigniewem Zamachowskim. Urodził się w Kamienicy. Dzieciństwo spędził w Siekierczynie, gdzie ma swój dom rodzinny. Często odwiedza Limanowszczyznę i samą Limanową. Już nie raz realizował tutaj swoje teatralne projekty, m.in. spektakle uliczne *Apokryf* (1995 rok) i *Zapach czasu* (1997).

Ostatnia jego wizyta teatralna to marcowy spektakl *Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać* na podstawie prozy Bohumila Hrabala, zaprezentowany 12 marca b.r. w limanowskim LDK-u w ramach Przedwiośnia Małych Form Teatralnych.

\*\*\*

Spotkanie z Jerzym Zoniem zrealizowane zostało w ramach projektu Dyskusyjnego Klubu Książki, do którego należy limanowska biblioteka i Limanowski Klub Literacki. Dyskusyjne Kluby Książki tworzą czytelnicy w różnym wieku, których łączy pasja czytania i poznawania nowych książek. Działają one właśnie najczęściej przy bibliotekach. Klubowicze spotykają się raz na określony czas i dyskutują o wybranej książce, którą przeczytali wcześniej (książki dostarcza Klubom, na wcześniejsze zamówienie, organizator projektu). Zapraszają również do siedzib swoich Klubów wybranych pisarzy czy ludzi kultury na spotkania autorskie. DKK działają w ramach ogólnopolskiego projektu Instytutu Książki pn. TU CZYTAMY!, który promuje czytelnictwo. Krakowska Wojewódzka Biblioteka Publiczna pełni funkcję instytucji koordynującej projekt na terenie Małopolski. Środki na działania DKK pochodzą z celowego programu Instytutu Książki.

**Fotografie: Bogdan Skrzekut**



# Garbus to uśmiech

Pięćdziesiąt garbusów w różnych kolorach i w różnych wersjach przejechało w paradzie przez Limanową, Nowy Sącz i Gródek n. Dunajcem w ramach „Majówki z New Beetle 2011”. Na zlot ich właściciele przyjechali m.in. z Koszalina, z Warszawy i okolic Pragi.

- Jak się kocha takie samochody, to trzeba być na zlocie. Poznaje się tu wspaniałych ludzi. Garbus to przecież nietypowy samochód, może nie wygląda na zbyt praktyczny i pakowny, ale jest komfortowy i wygodny – chwaliła Agnieszka Wasilewska z Warszawy, posiadaczka VW od prawie dwóch lat.

- Na widok garbusa każdy się uśmiecha, bo to samochód, który przyciąga uwagę. Takiego samochodu nie wybiera się z przypadku, jest on dla ludzi z pogodnym usposobieniem – podkreślała Anna Wyrwa z Nowego Sącza, współorganizatorka zlotu.

- To najlepszy samochód na świecie, ma duszę i charakter – oceniał Mariusz Morys z Wadowic, który przygodę z garbusami zaczął 17 lat temu.

Międzynarodowa Majówka z New Beetle pod patronatem „Dobrego Tygodnika Sądeckiego” rozpoczęła się od po-



kazu samochodów na placu przy Limanowskim Domu Kultury, później autka przejechały w paradzie przez rynek pod wyciąg na Łysej Górze. Miłośnicy tej marki mogli ją jeszcze podziwiać na rynku w Nowym Sączu i w Gródku n. Dunajcem.

Zlot miał szczególne znaczenie, poświęcony był niedawno zmarłemu założycielowi New Beetle Club Poland Andrzejowi Zasinie - Kolczykowi. Dlatego

każdy samochód miał czarną kokardkę, a w Gródku przy oglądaniu fotografii ze zlotów uczestnicy spotkania snuli wspomnienia o swoim zmarłym kapitanie.

Tych, którym nie udało się spotkać z wesołymi garbusami i ich właścicielami współorganizator Majówki z New Beetle Irek Frączyk pociesza, że kolejny zlot już za rok.

**Tekst: Jolanta Bugajska**  
*Dobry Tygodnik Sądecki*

## Wycieczka edukacyjna



Limanowski Uniwersytet Trzeciego Wieku ruszył w swoją pierwszą edukacyjną wycieczkę do zabytkowej kopalni węgla kamiennego – Guido w Zabrze.

Poziom 320 – to najgłębiej położona trasa turystyczna w kopalni węgla kamiennego w Europie.

To prawdziwa kopalnia, którą poczuliśmy w nogach (3 godz. marszu) i zobaczyliśmy w świetle lamp i unoszącego się pyłu. Jak św. Tomasz, niedowierzając słowom przewodnika, nasz ks. Stanisław Wojcieszak dotykał sklepienia, a kamienny pył okrył go „białą pierzynką” - doświadczenie przednie, o czym przekonał się również prezes Tadeusz Niezabitowski.

Idąc zaopatrzeni w hełmy górnicze i lampki zobaczyliśmy, jak pracuje kombajn chodnikowy „Alpina”, czy potężny kombajn KWB. Przeszliśmy wzdłuż unikatowego w polskim górnictwie 250-tonowego zbiornika na surowy węgiel. Zobaczyliśmy w ruchu przenośniki taśmowe. Poznaliśmy specyfikę pracy w wyrobisku zabierkowym, którego wysokość nie przekracza 1 m.

W jego wnętrzu dotykaliśmy żyły czarnego węgla.

Niezapomnianych wrażeń dostarczyło nam zejście w głąb wyrobiska nachylonego pod kątem dwadzieścia stopni tzw. upadowa kamienna. Ten najgłębszy poziom zabrzańskiej kopalni wydrążony na przełomie XIX i XX wieku, z systemem chodników oparty na dwóch wyrobiskach, dostarczył nam wiedzy empirycznej. Dowiedzieliśmy się, co to jest przodek, spąg, strop, ociosy, jak wygląda chodnik. Do czego służą sejsmometry i sejsmografy. Tu poznaliśmy jak rozwijała się technika górnicza od końca XIX wieku do czasów współczesnych. Tu poczuliśmy moc i potęgę natury. Podziwialiśmy doskonałość myśli człowieka oraz trud pracy górnika. Wrażenia pozostaną.

Dziękujemy naszemu sponsorowi pani Marii Szkarłat – Dyrektor „Ekonomika”.

**Czesława Piaskowy**

# Zadebiutowała jak Demarczyk

Limanowianka Marta Florek zadebiutowała na Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w koncercie poświęconym Ewie Demarczyk.

- To były takie emocje, że właściwie niewiele pamiętam. Owszem, scena nie jest mi obca, ale ranga przedstawienia była ogromna, a wrażenie kolosalne – mówi młoda wokalistka.



## Przed koncertem

Do udziału w koncercie została zaproszona przez organizatorów festiwalu. Na pewno pomogło to, że była kojarzona przez Krzesimira Dębskiego, czyli kierownika artystycznego koncertu oraz Magdalenę Piekorz -reżysera festiwalu. Pytana przed koncertem o emocje i poziom stresu, Marta mówiła:

- Moja mama stwierdziła, że gdyby ona miała stanąć przed taką publicznością, a przewidywalnie przed telewizorami zasiądzie 6 milionów widzów, to by uciekła. Dla mnie jednak, jeśli chodzi o emocje, niczym ten występ się nie różni od spektaklu. Najwspanialej wspominam śpiewanie dla papieża Benedykta XVI, myślę, że dla takiej publiczności jak wtedy - 600 tys. osób na żywo, już nie zaśpiewam. Oczywiście stres jest i nie będę ukrywać, że ranga przedsięwzięcia i pozycja festiwalu na rynku jest sporym wyzwaniem, ale to dla mnie praca, do której staram się bardzo serio podchodzić. Los mi daje szansę. Postaram się wypaść jak najlepiej potrafię. Motyle w brzuchu będą, mam jednak nadzieję, że wsparcie bliskich będzie tak duże, że to mi pozwoli zrobić swoje.

## Czarny anioł

Koncert „Panna Madonna legenda tych lat” promowany był od dawna jako artystyczne wydarzenie tegorocznego festiwalu w Opolu. Przed transmisją na żywo w telewizyjnej „Jedynce” kierownik artystyczny koncertu Krzesimir Dębski przyznał, że wokalistki, które wystąpią, są bardzo odważnymi kobietami, decydując się zmierzyć z repertuarem „czarnego anioła polskiej piosenki”. Na scenie pojawiło się osiem piosenek, w tym Justyna Steczkowska, Ania Dąbrowska, Kayah, Katarzyna Groniec.

Wszystkie występujące tej nocy panie ubrane były w czarne suknie w stylu bohaterki wieczoru. Śpiewały o uczuciach, pokazując, że prostota, minimalizm ruchów, brak efektów specjalnych w aranżacji może dać bardzo pozytywny efekt.

## Jak Demarczyk

Marta Florek została zapowiedziana na końcu, po występie znanych piosenek i po przyznaniu, nieobecnej na koncercie, Ewie Demarczyk zasłużonych tytułów.

- Byłam ostatnia, występ przesunął się już o pół godziny, nie mogłam się doczekać. Oczekiwaniu towarzyszyło zwykle zdenerwowanie. Chciałam po prostu już wejść na scenę i zaśpiewać – opowiada.

Prowadzący koncert Marcin Kydryński zapowiedział, że na finał, po 8 damach, wystąpi debutantka, która jak Ewa Demarczyk po raz pierwszy stanie na deskach amfiteatru opolskiego. Zaznaczył, że to duże przeżycie i poprosił publiczność o ciepłe przyjęcie.

- Na próbie zapowiadał mnie inaczej. Te kilka słów, które dodał od siebie, były niezwykle przyjemne. Mogę sobie tylko życzyć, żeby jego porównanie do debiutu Ewy Demarczyk było proroczymi słowami – komentuje Marta.

## Emocje i szansa

Limanowianka wykonała piosenkę „Na moście w Avinion” lekko jazzując.

- Po prostu tak poczułam tę piosenkę. Chciałam pokazać jej radość, energię, świeżość – przyznaje.

Jej występ został przyjęty z aplauzem, a po koncercie usłyszała słowa uznania od współwystępujących gwiazd.

Gdy rozmawiamy w niedzielny poranek, Marta przyznaje, że po przebudzeniu rano pomyślała, iż to wszystko było tylko snem i występ dopiero ją czeka. Emocje jeszcze nie opadły, radość i euforia pozostały, pozostało też miłe wrażenie ciepłego przyjęcia przez publiczność i serdecznego odbioru przez znajomych.

- Jestem wdzięczna za ogromne wsparcie, trzymane kciuki, sms-y i telefony. Jeszcze przed wejściem na scenę pomyślałam, że nieważne są sprawy techniczne, najistotniejsze są emocje, niesamowite przeżycie i cudowna szansa.

**Jolanta Bugajska**

*Dobry Tygodnik Sądecki*

**Fotografia z arch. Marty Florek,  
Fot. Piotr Brodziński**



# Miał szacunek dla innych

Było to nasze ostatnie spotkanie. Niespełna dwa miesiące przed śmiercią, kiedy byłem zaprosić Pana Artura Struzika na promocję albumu „Okруchy pamięci”, choroba gwałtownie postępowała. Na zaproszenie odpowiedział: „Będę się starał być na promocji, jeśli tylko siły mi na to pozwolą”.

Przyszł z rodziną i był do końca wieczoru promocyjnego, jakby czuł, że jest to jego ostatnie publiczne spotkanie z mieszkańcami Limanowej, dla których pracował całe swoje życie. Odebrał tego wieczoru II tom albumu fotografii o Limanowej, jego rodzinnym mieście, któremu poświęcił swoje zdolności i umiejętności, wkładając wiele wysiłku i zaangażowania zarówno w pracę zawodową jak i społeczną.

W ostatnich latach dość często spotykaliśmy się. Nie mogło przy opracowaniu albumu o Limanowej zabraknąć osoby, która związana była od urodzenia z miastem i miała o nim bogatą wiedzę. Był świetnym konsultantem, ułatwiał to opis fotografii do obu albumów. Bardzo chętnie pomagał i wspierał naszą inicjatywę. Podczas tych spotkań zrodził się pomysł, aby na łamach „Echa Limanowskiego” pokazać osoby oraz ich działalność związaną ze środowiskiem sportowym w naszym mieście. Zwróciłem się do pana Artura, prosząc o opisanie własnych wspomnień o wydarzeniach i ludziach działających w sporcie na Ziemi Limanowskiej. Odpowiedział krótko: *Spróbuję*. I tak powstały artykuły jego autorstwa: „Skocznie narciarskie w Limanowej”, „Kochał sport i młodzież” – wspomnienia o Władysławie Wietrznym, „Historyczne nieściskości” – dopełnienie do artykułu „Przerwana działalność sportowa” – o drużynie piłki nożnej w czasie okupacji.

Mieliśmy dalsze plany. Mówił i podpowiadał, że warto przypomnieć o bogatej działalności Ludowych Zespołów Sportowych, pokazać na czym polegała limanowska próba narciarska, przedstawić historię pierwszych wyciągów narciarskich w powiecie limanowskim, itp. Miał obszerną wiedzę na te tematy, bowiem sam uczestniczył w organizowaniu tych sportowych działań na terenie Limanowej.

Niestety choroba utrudniała mu bycie aktywnym, a przede wszystkim ograniczała realizację jego pasji, jakim było malowanie, szczególnie starej Limanowej, o czym pisała Ilona Machowicz – Jurowicz w artykule „Zatrzymał chwilę...” (EL nr 138 marzec 2006r.). W artykule tym wspominał: „To jest mój powrót do młodzieńczych zainteresowań, kiedy jako licealista pod kierunkiem Tadeusza Ociepki uczyłem się podstaw rysunku i malarstwa. Obecnie kiedy jestem na emeryturze, tworzenie pochłania coraz więcej mojego czasu. Odczuwam radość, gdy prace podobają się rodzinie, przyjaciółom i znajo-

mym. Daję obrazy w podarunku, aby „cieszyły oczy” i przypominały o mnie”.

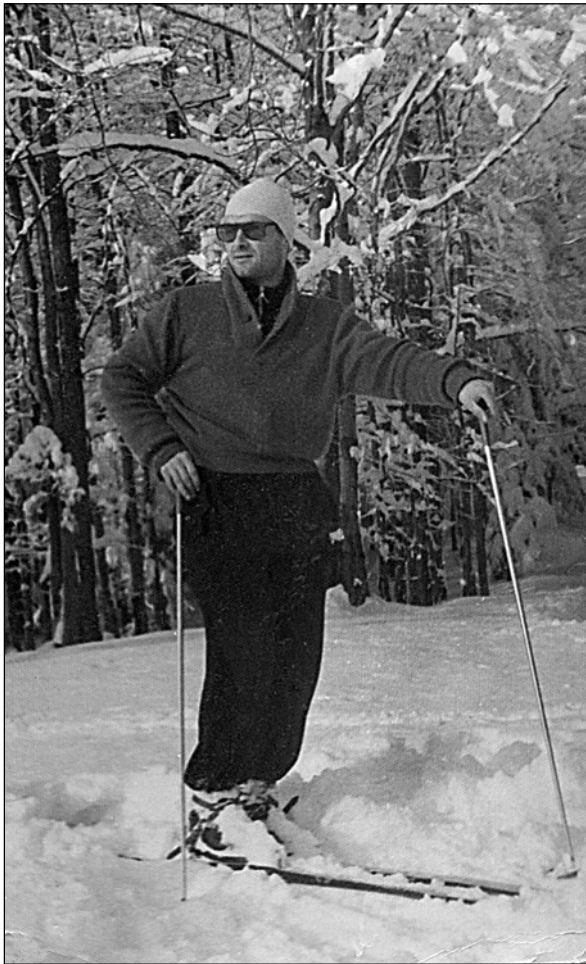
I ja otrzymałem obraz od Pana Artura. Namalował widok przedstawiający fragment starego „Kamieńca”, (dziś ulica Kilińskiego), gdzie w dzieciństwie wychowywałem się. Obraz ten podarował mi na jednym z naszych wspólnych spotkań.

Często rozmawialiśmy o trudnych wyborach, jakich w przeszłości musiał dokonywać. Refleksje nasuwały się same. Inspiracją były oglądane dokumentalne archiwalne fotografie. Jedno co w czasie tych spotkań zwracało szczególną uwagę to szacunek, który wyrażał do ludzi oraz ich dokonań.

Odszedł, mając 78 lat – dyrektor ZSMiE, wychowawca wielu pokoleń, człowiek szacunku dla drugiej osoby. Żegnała Go rodzina, najbliżsi, uczniowie, przyjaciele oraz przedstawiciele wielu środowisk limanowskich. W podniosłym nastroju, przy melodii granej na trąbkach, złożono trumnę z ciałem dyrektora Artura Struzika do grobu, nieopodal bramy wejściowej na parafialnym cmentarzu od strony „Siwego Brzegu”, gdzie w latach powojennych po drugiej stronie Potoku Starowiejskiego stała narciarska skocznia, z którą zmarły miał niezapomniane związki. Czas to już przeszedł. A pamięć dla Jego dokonań, tych wymiernych i tych, które ukryte miał w swoim wnętrzu, wymaga szacunku.

**Tekst: Stanisław Ociepka**  
**Fotografie: Bolesław Garnarcz**





Pasją Artura Struzika było narciarstwo.

**Artur Struzik** urodził się 23 stycznia 1933 roku w Limanowej, gdzie spędził swoje dzieciństwo. Edukację rozpoczął w okresie okupacji, a w stale reformującej się szkole średniej w 1952 roku zdał maturę. Jako uczeń szkoły średniej czynnie uprawiał sporty zimowe, a szczególnie skoki narciarskie.

Po nieudanym egzaminie wstępnym na studia w 1952, podejmuje pracę w Prezydium PRN w Limanowej jako przewodniczący Komitetu Kultury Fizycznej. Gdy pełnił tę funkcję, odbudowana została zniszczona w czasie okupacji skocznia narciarska na „Siwym Brzegu”. Na tej właśnie skoczni wiele razy wygrywał zawody. Po raz ostatni skakał na niej 1970 roku, pokazując swoim dzieciom na czym to polega.

W tym czasie był również związany z amatorskim teatrem Ziemi Limanowskiej. Uczestniczył przy wykonywaniu dekoracji do sztuk teatralnych.

Po roku pracy w 1953 dostał się na studia w WSWF w Krakowie, które ukończył w 1956 (magisterium obronił w 1970 r.). Powraca do Limanowej i zostaje w latach 1956 – 1957 instruktorem Rady Powiatowej LZS i KS „Limanovia”. Od 1957 do 1960 był nauczycielem



W czasie emerytury całkowicie oddał się pasji malowania - marzec 2006 rok.

Zasadniczej Szkoły Przetwórstwa Owocowo – Warzywnego w Tymbarku. Przez dwa następne lata odbywa okresową służbę wojskową jako oficer. W latach 1962- 1971 zostaje nauczycielem Zasadniczej Szkoły Zawodowej i Technikum Mechanicznego w Limanowej. Wówczas upowszechnia zajęcia sportowe wśród młodzieży zarówno szkolnej jak również zrzeszonej w klubie sportowym KS „Limanovia”.

Jest autorem graficznego symbolu Klubu Sportowego „Limanovia”, który zaprojektował w roku 1962. Projektował również flagę klubową, na której opiera się obecny wygląd flagi miasta Limanowa.

W 1971r. zostaje urlopowany i do 1975 zajmuje stanowisko polityczne. Mając możliwość kontaktowania się z ówczesnymi władzami wojewódzkimi i centralnymi, sprzyjał powiększaniu bazy turystycznej i sportowej powiatu limanowskiego. Był inicjatorem budowy wyciągów narciarskich w Kasinie Wielkiej, Szczawie i Limanowej.

Przy powstaniu nowego województwa w Nowym Sączu (1975) przeszedł do pracy w Kuratorium Oświaty i Wychowania na stanowisko wizytatora z zadaniem organizowania Szkoły Sportów Zimowych w Zakopanem i Szkoły Sportów Letnich w Nowym Sączu. Stanowisko to zajmuje do roku 1978. W tym samym roku po śmierci wieloletniego dyrektora ZSMiE, a zarazem nauczyciela z liceum, Tadeusza Ociepki, zajmuje jego miejsce pełniąc funkcję dyrektora do czasu przejścia na emeryturę w 1990 roku.

W 1967 roku współinicjował założenie w Limanowej Sekcji Operacyjnej (terenowej) GOPR. Uzyskał w tym czasie uprawnienia jako jeden z pierwszych limanowskich ratowników górskich.

Jego aktywna działalność przyczyniła się do rozwoju limanowskiego sportu. Popularyzował narciarstwo biegowe na Limanowszczyźnie w ramach limanowskiego eksperymentu i przyczynił się do jego wdrożenia. W różnych okresach swojego życia był zarówno zawodnikiem czynnie uprawiającym sport jak i trenerem, nauczycielem – opiekunem SKS oraz działaczem.

Po przejściu na emeryturę działał społecznie w Lidze Obrony Kraju jako czł. Zarządu Wojewódzkiego oraz prezes Zarządu Powiatowego w Limanowej.

Za swoją działalność był nagradzany przez ministra edukacji i kuratora oświaty. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim OOP, medalami: KEN, TPD oraz odznakami: ZNP i za zasługi: LOK, GOPR, PCK, PTTK, GKKE, TKKF.

W ostatnich latach emerytury całkowicie oddał się pasji malowania. Uczestniczył w wielu wystawach malarstwa artystycznego.

Wraz z żoną Barbarą wychował dwoje dzieci: córkę Jadwigę i syna Wojciecha.

*Biografia została opracowana w oparciu o „Księżę Limanowian”, Elżbiety Wojtas-Ciborskiej*



# Wspomnienia z młodości

Tak w życiu się składa, że jeżeli ktoś bliski odejdzie, to myśli i wspomnienia zapisane w świadomości jak bumerang powracają do dawnych lat, czasów dzieciństwa i przedwczesnej dojrzałej młodości. Artura Struzika, „Artka”, bo tak wszyscy do niego się zwracaliśmy, poznałem w czasie okupacji. Był młodszy ode mnie o dwa lata. Dziś trudno mi jest powiedzieć przy jakiej okazji poznałem go, może w warsztacie jego ojca, który był ślusarzem, a zakład znajdował się na stromym brzegu „Kamieńca”, bliżej rynku wśród starych żydowskich domów.

Zaglądałem tam czasem, aby popatrzeć na rowery, które jego ojciec naprawiał i wypożyczał. Bardzo chciałem mieć taki rower. W tych latach nie każdy mógł mieć własny rower. Tak się nasza przyjaźń zaczęła. Artek przychodził do mojego domu pod Górę. Razem wędrowaliśmy po lesie na Chłopskiej Górze, wypatrując gniazd ptaków. Gdzieś w 1943 roku przypadkowo spotkaliśmy przenośnego handlarza, który sprzedawał używane ubrania, sacharynę i kamyczki do zapalniczek. Wówczas zaczął się nasz wspólny handel. Za zdobyte pieniądze kupiliśmy większą ilość sacharyny i kamyczków do zapalniczek. Był to towar bardzo poszukiwany, bo cukru w ogóle nie było. (jedną niewielką pastylką sacharyny można było osłodzić cały dzbanek lipowej herbaty). Ludzie smażyli buraki, aby uzyskać słodki syrop. Zapalek też brakowało, więc sposobem chałupniczym wyrabiano zapalniczki z gilzy (łuski z naboju do karabinu), do której potrzebne były kamyczki. Z tym towarem chodziliśmy po domach na Sarczynie, Pisarskich Górach i Pisarzowej. Interes szedł dobrze. Jeździliśmy do Sącza z ubraniami, ale „banszusy” (Sokiści) nas gonili. Zima 1944 na 1945 roku nas rozdzieliła. O Artku usłyszałem dopiero pod koniec 1945 roku, kiedy to cudem uniknął śmierci. Przeszukując wraz z kolegami opuszczone niemieckie baraki, które były na starej „Targowicy”, od wybuchu miny ciężko ranny umiera jego kolega Świdzki.

Po wojnie nasze drogi się rozeszły. Artek kontynuował naukę w liceum, potem zaczął studiować w Krakowie oraz rozpoczął pracę w szkolnictwie, ja pracowałem w budownictwie. Spotkaliśmy się przypadkowo kilka lat temu w Muzeum Ziemi Limanowskiej na wystawie malarskiej, na której prezentował swoje obrazy. Serdeczne powitanie i wspomnienia z dawnych lat.

Rok temu w czasie Międzynarodowego Pleneru „Sztuka nie zna granic” po raz ostatni odwiedził mój dom, a w zasadzie spotkaliśmy się w ogrodzie, gdzie były realizowane warsztaty malarskie, w których on również uczestniczył.

**Tekst: Antoni Mamak**

**Fot.: arch. albumu „Okruchy pamięci”**



W okresie nauki w liceum - początek lat pięćdziesiątych.



W czasie pleneru „Sztuka nie zna granic” w ogrodzie Antoniego Mamaka - 2010 rok.

# Wspomnienie o Profesorze Henryku Jurowiczu

19 maja zmarł nagle Profesor Henryk Jurowicz – emerytowany nauczyciel fizyki w I LO. Pogodny, wesoły, choć z pozoru surowy i wymagający, bardzo energiczny, niemal bez przerwy przemierzający klasę zwawym krokiem, jedną ręką piszący jakieś wzory a drugą już je ścierający, a do tego wyrozumiały, potrafiący powiedzieć do uczniów przepraszających za jakiś szczeniacki wybryk: „Wybaczam, ja rozumiem błędy młodości”.



Wśród wychowanków - 1989 rok.

Profesor Henryk Jurowicz urodził się 29 maja w Lędzianach w powiecie tyskim. Tytuł magistra fizyki uzyskał w 1963 r. na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Po studiach do 1968 r. pracował jako nauczyciel fizyki w Lubsku i Kędzierzynie-Koźlu. Później do 1973 r. – w Instytucie Spawalnictwa i Instytucie Maszyn Matematycznych w Gliwicach.

1 września 1973 r. rozpoczął pracę w I Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej, przy czym w latach 1983 – 1985 pełnił funkcję wicedyrektora. Za swoją pracę był m.in. odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Na emeryturę przeszedł 31 sierpnia 1999 r.

Tyle suche fakty, a jakim człowiekiem był Profesor Jurowicz?

- Wesołym – takie określenie najczęściej pojawia się we wspomnieniach tych, których losy skrzyżowały się z życiem Profesora.

Uczniowie z różnych roczników powtarzają, że Profesor kojarzy im się... ze śpiewaniem. Na lekcjach bowiem oprócz praw fizyki można było usłyszeć nucone przez Niego piosenki.

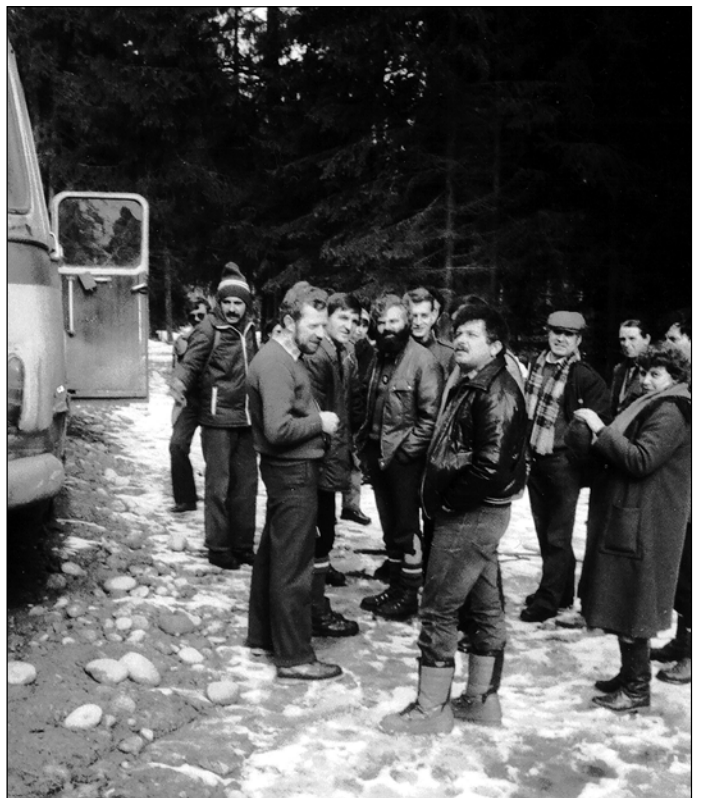
- Kiedyś na przykład Pan Profesor podając wzór na drogę, stwierdził, że jest taka piosenka o drodze i zaczął śpiewać... „Moja droga ja cię kocham”.

Zatem na tablicy oprócz wzorów i wyliczeń pojawiały się słowa piosenki i lekcja przeradzała się w naukę śpiewu. Oczywiście fizykę też najlepiej było umieć śpiewająco, tym bardziej,



Z gronem pedagogicznym I Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej.

że Profesor miał jakiś tajny system wywoływania numerów do odpowiedzi. Nieraz jakaś osoba z nieszczęsnym numerkiem miała po kilka ocen, a inna nerwowo oczekiwała, kiedy wreszcie zostanie choć raz zapytana. „Pytanie” czasami miało formę odpowiedzi pisemnej. A w ocenianiu tych prac Pan Profesor był niezrównany. Dziwny system znaczków stosowanych



Jego pasją była turystyka - był przewodnikiem beskidzkim.





► przy tej okazji był czytelny chyba tylko dla Pana Profesora, ale trzeba dodać, że zawsze to ocenianie odbywało się z korzyścią dla ucznia. Zatem obok trójki z dwoma minusami pojawiała się kropeczka, co zapewne było „trzecim minusem” stawianym przy ocenie.

Jedna z anegdot opowiada, że Profesor z poczuciem humoru potrafił podejść do „pracowitości” uczniów. Gdy jeden z nieszczęśników kompletnie nieprzygotowanych do sprawdzianu zamiast rozwiązywać zadania i wykazywać się znajomością teorii, napisał wypracowanie na temat „dlaczego nie przygotowałem się na lekcję”, otrzymał ocenę minus trzy – za to, że przynajmniej pracował, a nie parzył w sufit.

Profesor, pieszczotliwie nazywany przez uczniów „Heniem”, słynął też z niemal wojskowej dyscypliny – przed lekcją trzeba było się ustawić w równym dwuszeregu, zaliczając musztrę. Innym obszarem, w którym Profesor słynął z surowości było... ściganie i tępienie tych, którzy palili papierosy. To wspomnienie wywołuje uśmiech u niejednego zwłaszcza z męskiej części wychowanków Profesora.

Do historii przejdą też wymyślane na poczekaniu rymowane sentencje Pana Profesora, zawsze wygłaszane z poważną miną, choć krył się w nich dowcip.

- Bo to był bardzo wesoły człowiek, który także do siebie potrafił podchodzić z humorem – można usłyszeć od Jego znajomych.

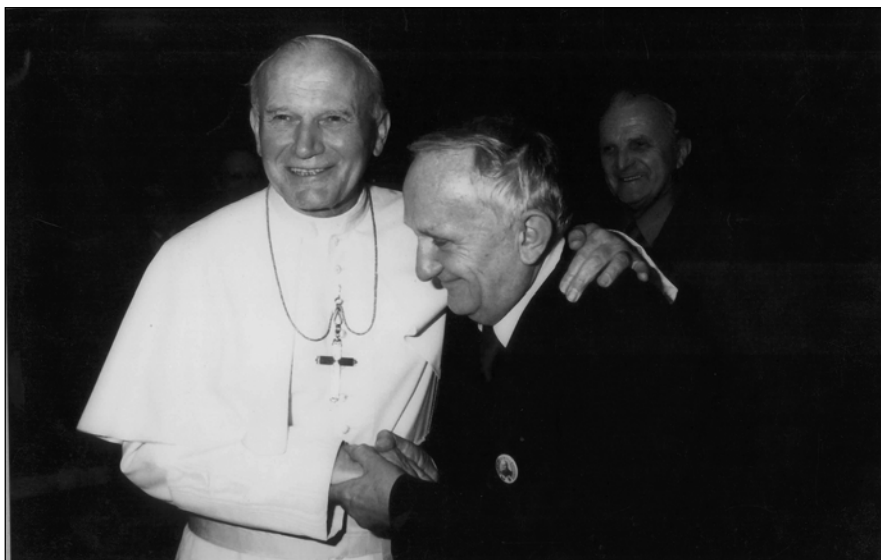
Profesor Henryk Jurowicz nie tylko uczył fizyki. Był także, choć może nie bardzo aktywnie działającym, przewodnikiem górskim - beskidzkim, przewodnikiem terenowym po województwie małopolskim i pilotem wycieczek. Aktywnie działał również w limanowskiej parafii, gdzie m.in. od lat katalogował kościelną bibliotekę.

„Istniejemy, póki ktoś o nas pamięta” – pisze Carlos Ruíz Zafón. Profesor Henryk Jurowicz z pewnością pozostanie w pamięci swoich uczniów.

**Tekst: Jolanta Bugajska**  
**Fotografie: arch. I LO**

# Kolega z klasy Jana

Eugeniusz Mróz jest jednym z trzech żyjących kolegów z ławy szkolnej Jana Pawła II. Jedynym, który może jeszcze opowiedzieć o tamtych latach. Jako nastolatek mieszkał w Wadowicach w kamienicy przy ul. Rynek 2 po sąsiedzku z rodziną Wojtyłów. Nie jest jednak wadowiczanie. Pochodzi z Limanowej i był uczniem Gimnazjum Bolesława Chrobrego w Nowym Sączu.



Spotkanie koleżeńskie w 45-lecie matury. Eugeniusz Mróz w przyjacielskim uścisku z Janem Pawłem II - Kraków 23 czerwca 1983 rok.

## *Limanowianin, wadowiczanie, opolanin*

Z Panem Eugeniuszem Mrozem udaje nam się skontaktować dzięki pomocy Marcina Guzika z portalu WadowiceOnline.pl oraz Marii Talagi – prezes Stowarzyszenia Absolwentów Liceum im. M. Wadowity, zresztą przez 30 lat mieszkanki Nowego Sącza. Pan Eugeniusz od 1945 r. mieszka w Opolu, ale regularnie przyjeżdża do Wadowic, które uznaje za swoje miasto. W marcu obchodził 91. urodziny i choć zdrowie czasem szwankuje, jest człowiekiem bardzo kontaktowym, ma świetną pamięć. Opowiadanie o koledze z klasy – Karolu Wojtyłe uważa wręcz za swój obowiązek i robi to z całą gorliwością, choć historię z tamtych lat przedstawiał już tyle razy.

- Urodziłem się 14 marca 1920 r. w Limanowej. Mieszkaliśmy przy ulicy Ogrodowej. Pamiętam z tamtych czasów Janka Rusina, czy rodzinę Załubskich, Biedroniów. W Limanowej ukończyłem siedmioklasową szkołę powszechną. A ponieważ nie było tu szkoły średniej, więc później przez półtora roku uczyłem się w Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Nowym Sączu – wspomina.

W styczniu 1935 r. jego ojca – Feliksa, urzędnika skarbowego, przeniesiono do Wadowic. Wraz z nim do miasta nad Skawą powędrowała cała rodzina. Zamieszkali w kamienicy przy ul. Rynek 2 i w ten sposób do połowy 1937 r. byli sąsiadami Karola Wojtyły i jego ojca.

## *Szlachetny kolega z charyzmą*

- Aż do matury w 1938 r. chodziliśmy z Karolem Wojtyłą do jednej klasy w wadowickim gimnazjum neoklasycyźnym im. Marcina Wadowity – opowiada Eugeniusz Mróz.

Wspomnień o Lolku, jak za zmarłą matką koledzy mówili na przyszłego papieża, ma mnóstwo. Pamięta Wojtyłę jako świetnego, bardzo inteligentnego ucznia, do tego niezwykle szlachetnego kolegę, od którego biła jakaś charyzma. Zawsze dostawał najlepsze noty, był bardzo pilny i obowiązkowy. A do

# Pawła II

tego miał zasady i nigdy nie podpowiadał ani nie dawał odpisywać, za to zapraszał do siebie i pomagał tym, którzy mieli problemy z nauką. Ale też nigdy nie dawał odczuć kolegom, że góruje nad nimi wiedzą i zdolnościami. Zdziwił tym, że w wieku kilkunastu lat czytał klasyków: Słowackiego, Mickiewicza, a przede wszystkim Cypriana Kamila Norwida. Zawsze też przed i po szkole wstępował do kościoła, a przy drzwiach mieszkania Wojtyłów była porcelanowa kropielniczka – Karol za każdym razem wychodząc z domu kreślił znak krzyża.

## Lolek – Martyna

Karola Wojtyłę koledzy nazywali też Martyną – nazwiskiem znakomitego obrońcy Iwowskiej Pogoni, bowiem Lolek w ich koleżeńskich meczach świetnie grał w piłkę najpierw jako obrońca, a później bramkarz. Sport jednak traktował nieco inaczej niż rówieśnicy. Oni grali do upadłego, on – tyle, ile uznał za stosowne, w ramach przerwy w wysiłku umysłowym.

Eugeniusz Mróz nie tylko grał w piłkę z przyszłym papieżem. Razem wędrowali też po górach. Niezapomnianą wycieczką była wspinaczka na Giewont z Karolem Wojtyłą i jego ojcem. Gdy byli na Czerwonych Wierchach zaskoczyła ich mgła. Ojciec Lolka nagle zniknął im z oczu. Chłopcy przerazili się i zaczęli się gorliwie modlić. Wreszcie, gdy mgła powoli ustąpiła, zeszli do Zakopanego, a tam na szczęście okazało się, że ojciec już czeka na nich z gorącą herbatą w pensjonacie.

## Aktor nie kapłan

Eugeniusz Mróz wspomina też fenomenalną pamięć, doskonałą dykcję i piękny metaliczny głos Karola Wojtyły, który tymi atutami wykazywał się w kółku teatralnym prowadzonym przez polonistę Kazimierza Forsysia. Kiedyś w „Balladynie” Lolek grał Kirkora, ale tuż przed spektaklem okazało się, że kolega z rolą Kostryna zachorował. To znaczyło, że przedstawienie nie odbędzie się. Jednak on uratował sytuację, zgłaszając, że biorąc udział w próbach zapamiętał też tę drugą rolę i bez problemu ją odegra. Widowisko zostało uratowane.

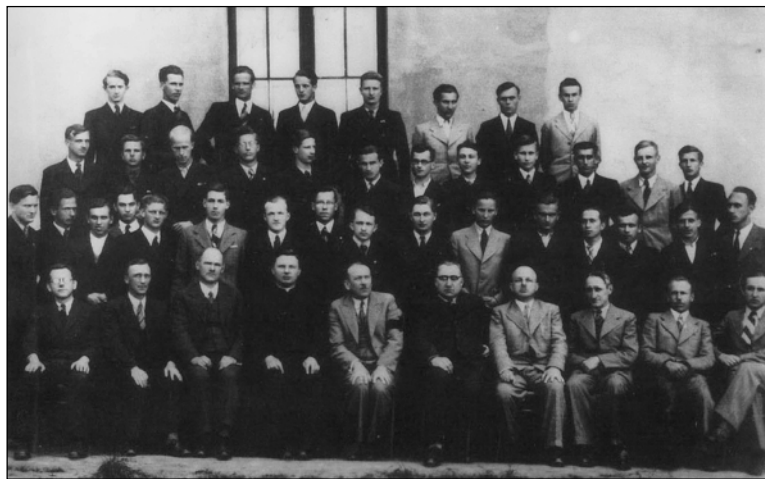
Ostatni raz w murach szkoły jako uczniowie widzieli się w maju 1938 r. Potem zdali maturę i ich drogi rozeszły się, w czasie wojny nie mieli z sobą kontaktu.

Czy wtedy w latach szkolnych ktokolwiek z nich przypuszczał, że Karol Wojtyła zostanie papieżem, błogosławionym?

- Nie, w ogóle nawet nie myśleliśmy, że zostanie kapłanem. Raczej widzieliśmy w nim na przykład aktora – przyznaje Mróz.

## Dyrektor Gawor z Sącza

Z lat szkolnych Karola Wojtyły warto przywołać jeszcze jeden akcent, związany z Nowym Sączem. Gdy przyszedł papież uczył się do pierwszej klasy, w szkole dyrektorował Henryk Gawor. Gawor urodził się w 1871 r. w Nowym Sączu, a w latach 1897-1901 pracował w sądeckim Gimnazjum im. Jana Długosza. Później trafił do Wadowic, gdzie od 1924 r. przez siedem lat był dyrektorem. Uczył głównie łaciny i greki, choć akurat nie miał lekcji z klasą Mroza i Wojtyły. Jedną z opowieści mówi, że Gawor władał biegle dwunastoma językami.



Absolwenci i Pedagodzy Państwowego Neoklasycznego Gimnazjum im. Marcina Wadowity - Wadowice maj 1938 rok. Karol Wojtyła w drugim rzędzie z lewej.

## Papież kolega

Byli koledzy z ław szkolnych spotykali się po latach. Pierwszy zjazd odbył się w 1948 r. w dziesiątą rocznicę matury. Karol Wojtyła przyjechał już jako kapłan. Nawet specjalnie przesunięto datę zjazdu, żeby zdążyć przed jego wyjazdem do Rzymu, ponieważ po święceniach został skierowany przez kardynała Sapię na studia na Angelicum. W kolejnych latach dawni koledzy spotykali się tradycyjnie co cztery lata w ostatnią niedzielę grudnia w Krakowie przy ul. Franciszkańskiej.

16 października 1978 r. Eugeniusz Mróz pracował u syna w ogródku. Słuchał Radia Wolna Europa. Nagle padła wiadomość, że konklawe wybrało na papieża Polaka - Karola Wojtyłę. To była dla niego chwila wielkiego wzruszenia. Zaraz też podzielił się radosną wiadomością z rodziną i przyjaciółmi.

Już z Janem Pawłem II po raz pierwszy koledzy z ławy szkolnej spotkali się w czerwcu 1979 r. w Wadowicach, podczas Jego pierwszej pielgrzymki do ojczyzny. Papież poza protokołem wymknął się ochronie i spotkał z kolegami na zapleczu miejscowej plebani. A później były spotkania i w Rzymie, i w Castel Gandolfo, i w Krakowie. Ostatnie z nich w 2002 r. zakończyło się stwierdzeniem, że jak Bóg da zobaczą się w na spotkaniu z okazji 65-lecia matury. Do tego spotkania już nie doszło.

## Zagrałby jak przed laty

Eugeniusz Mróz o swym koleżeństwie z Janem Pawłem II opowiada na spotkaniach z młodzieżą, z mediami. Z jego udziałem nakręcono filmy o papieżu - Polaku „Jeden z nas” i „Całopalenie”. Sam ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. Przez lata pracował jako radca prawny. Z zamiłowania był też pilotem wycieczek zagranicznych, w tym między innymi do Włoch, gdzie kilkakrotnie spotykał się z „kolegą z klasy”.

W Limanowej ani w Nowym Sączu nie bywa. Nie ma tu żadnej rodziny, a dawni koledzy zapewne już nie żyją. Z chęcią odwiedziłby jednak ten region, kiedyś pisał nawet do władz Limanowej, ale jak mówi z żalem, nikt się do niego nie odezwał. A on z przyjemnością opowiedziałby młodzieży o swoim Wielkim Znajomym i zagrał na harmonijce jak to robił zawsze na spotkaniach z Janem Pawłem II.

**Jolanta Bugajska**

*Dobry Tygodnik Sądecki*

**Zdjęcia ze zbiorów Eugeniusza Mroza udostępnione dzięki życzliwości Pani Marii Talagi.**



# Z perspektywy przeżytych lat

Po pięćdziesięciu latach pracy zawodowej, w tym trzydziestu ośmiu w Limanowej, przeszedł na zasłużoną emeryturę Rudolf Zaczyński, który w ostatnich ośmiu latach swojej pracy pełnił funkcję wiceburmistrza miasta.

Jego droga życiowa jest przykładem awansu wiejskiego chłopca, który dzięki własnemu uporowi i pracowitości doszedł do stanowisk, zdobywając uznanie i szacunek wśród limanowskiego społeczeństwa.

Kiedy nie mając jeszcze 18 lat w roku 1961, wyruszył z rodzinnej wsi do Krakowa ze zbitą z drewna walizką, do której zabrał pół bochenka chleba i odzież osobistą, zapewne nie marzył wówczas, że kiedyś po latach będzie pełnił uznane i szanowane funkcje społeczne. Pomimo różnych przeciwności, jakie spotykały go na drodze życiowej, dotarł do mety, realizując wiele szlachetnych celów.



Rudolf Zaczyński

## W domu rodzinnym

Rudolf Zaczyński urodził się 14 lutego 1943 roku w Tymowej. Ojciec Franciszek był dobrym i szeroko znanym stolarzem, matka Weronika pochodziła z sąsiedniej wioski z dużego gospodarstwa.

Weronika i Franciszek Zaczyńscy mieli trzech synów, Stanisław (nauczyciel, wieloletni wicedyrektor Technikum Mechaniczno-Elektrycznego w Limanowej), Edward (pozostał na gospodarstwie rodziców), Rudolf (bohater wspomnień).

Po ukończeniu szkoły podstawowej pozostawał na wsi do roku 1961, pomagając w gospodarstwie, jak również w warsztacie stolarskim ojca. Tak wspomina pobyt w domu rodzinnym: *Do końca pobytu na wsi nie miałem możliwości pogłębienia swojej wiedzy, gdyż na wsi w tym czasie nie było radia, telewizji, a nawet prądu elektrycznego. W naszej wiosce, co pamiętam, radio miał jeden gospodarz, do którego chodził tato, aby w wielkiej konspiracji posłuchać Radia Wolnej Europy.* Nie mając 18 lat wyjeżdża do Krakowa, aby rozpocząć życiową przygodę pełną wydarzeń, które doprowadziły go do uzyskania tytułu inżyniera Politechniki Krakowskiej.

## Nauka i praca

W Krakowie udał się do wujka. Po krótkim pobycie u niego, załatwił pracę jako pomocnik stolarza w warsztacie stolar-



Z dużym zapalem zdobywał wiedzę.

skim Krakowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Kierownik stolarni przed podjęciem decyzji o przyjęciu go jako sprawdzian kazał przygotować do pracy piłę ramową (rozwieść i naostrzyć) oraz naostrzyć i ustawić do gładzenia strug. Po wykonaniu tych czynności sprawdził, jak to wykonał i stwierdził, że jest to jedna z trudniejszych czynności, uznając że kandydat do pracy wykonał to wzorowo. Przy pomocy kierownika tejże stolarni załatwił mieszkanie w hotelu robotniczym.

W czasie pierwszego urlopu wypoczynkowego poznał dziewczynę, uczennicę liceum dla pracujących, od której dowiedział się o możliwości uczenia się wieczorami. Zdecydował się od razu złożyć podanie w sprawie przyjęcia do liceum. Przystąpił do przygotowania się do egzaminu wstępnego, który zdał zostając uczniem szkoły średniej. *Wtedy chyba po raz pierwszy poczułem łzy szczęścia, kiedy to odczytałem na liście przyjętych do liceum moje nazwisko* – wspomina.

W okresie uczęszczania do liceum pracował na stolarni, a po jej przeniesieniu do Bochni na budowach tego przedsiębiorstwa. Okres ten wspomina z przykrością, ponieważ był fatalny dla jego zdrowia szczególnie w okresach zimy, gdyż warunków sanitarnych praktycznie nie było. Pakamery były najczęściej w piwnicach budowanych budynków, gdzie wilgotność była tak duża, że ubranie robocze w okresach mrozów często było zamrożone. Umyć się przed pójściem do szkoły można było pod kranem na wolnym powietrzu. Warunki mieszkaniowe w hotelu robotniczym nie były lepsze, były to baraki drewniane. W okresie zimy bywało tak zimno, że pozostawiona kawa w dzbanku zamarzała. Do przykrycia w czasie snu były początkowo dwa koce i to bardzo mocno zniszczone. Po okresie dwóch lat dano kołdry wcześniej użytkowane i dość mocno zużyte. Warunki do nauki były okropne; w pokoju mieszkało pięć osób i to jeszcze o różnych zainteresowaniach. *Uczyłem się głównie wtedy, kiedy już wszyscy spali. Zastawiałem żarówkę gazetami, aby światło nie przeszkadzało śpiącym współmieszkańcom. W pokoju dodatkowo były zamontowane głośniki tzw. kolchoźniki, które były włączone cały*

czas. Dzięki dużemu zapalowi do nauki w szybkim czasie opanowałem dobrze matematykę i fizykę. Ponieważ te przedmioty były trudne dla koleżanek, miałem dużo propozycji do wspólnego uczenia się, dzięki czemu korzystałem z lepszych warunków do nauki w ciepłym mieszkaniu – wyjaśnia Rudolf Zaczyński.

W maju 1966 roku zdaje egzamin maturalny, a w czerwcu tegoż roku egzamin wstępny na studia, zdobywając upragniony indeks. Zaczęła się od nowa nauka wieczorami. Na początku były trudności ze względu na rodzaj wykonywanej pracy oraz warunki mieszkaniowe. Dopiero pod koniec studiów otrzymuje w nowo wybudowanym hotelu robotniczym, gdzie było już ciepło, jednoosobowy pokój, co było na owe czasy luksusem. 19 marca 1971 roku broni pracę dyplomową, uzyskując tytuł inżyniera budownictwa lądowego w specjalności budownictwo miejskie i przemysłowe.

## Początki innego życia

Kiedy rozpoczął pracę zawodową jako pomocnik stolarza w Krakowskim Przedsiębiorstwie Budowlanym a następnie na budowach tego przedsiębiorstwa, pomimo różnych panujących tam warunków pracy, był świadomy, że nie ma innego wyboru. Głównym jego zadaniem było zarobić na utrzymanie oraz zdobyć wykształcenie. Dopiął celu, ale po drodze zmieniał zatrudnienie.

W 1966 roku otrzymuje angaż na stanowisko magazyniera zakładu ślusarsko – zbrojeniowego Krakowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, a we wrześniu 1967 został przeniesiony na stanowisko kierownika magazynu produkcji pomocniczej. Ponieważ charakter wykonywanej pracy (praca w porze dnia i nocy) utrudniała mu naukę na studiach w 1968 roku przenosi się na stanowisko st. technika ds. analizy dokumentacji technicznej. Włączył się do akcji budowy bloku mieszkalnego w celu szybszego otrzymania mieszkania. Rok 1971 jest dla niego szczęśliwy, kończy tak bardzo upragnione studia, zostaje przeniesiony na stanowisko z-cy kierownika działu dokumentacji technicznej, otrzymuje ciężko odpracowane mieszkanie w Krakowie, a przede wszystkim zawarł związek małżeński z Marią Kurczab. Przyszłą żonę poznał na zabawie karnawałowej w Limanowej w 1970 roku, bowiem z Limanową był związany poprzez swojego brata Stanisława. Od tej pory zaczęły się częste wyjazdy do Limanowej. W kwietniu w limanowskim szpitalu na świat przychodzi córka Ania. Po wielu staraniach, otrzymuje większe mieszkanie typu M-3 w Krakowie. W międzyczasie po odbyciu odpowiedniego kursu zdaje egzamin, uzyskując uprawnienia budowlane.



Od pewnego momentu żona rozpoczęła zdecydowaną walkę o wspólny wyjazd do Limanowej. Tłumaczenie i przedstawianie dodatknych cech pobytu w Krakowie nie dawało rezultatu. Ostatecznie od 1 lutego 1973 roku zamieszkali w Limanowej.

W drodze przeniesienia służbowego inż. Rudolf Zaczyński podejmuje pracę w Przedsiębiorstwie Budownictwa Ogólnego „PODHALE” w Zakopanem, zostając kierownikiem budowy Domu Młodzieży im. Janka Krasickiego w Limanowej. Za namową architekta powiatowego Krzysztofa Białki przenosi się w roku 1973 do pracy w wydziale B.U.A. Prezydium Rady Narodowej w Limanowej na stanowisko Inspektora Powiatowego. W ten sposób po 12 latach pracy w wykonawstwie, rozpoczął pracę w administracji państwowej. Podejmuje również pracę edukacyjną i w latach 1974 -76 uczy młodzież przedmiotów zawodowych w Ochotniczym Hufcu Pracy. Po likwidacji powiatu w 1975 r. zostaje przeniesiony do pracy w Urzędzie Miasta i Gminy na stanowisko inspektora ds. budownictwa.

## Nowy rozdział w karierze zawodowej

Na prośbę prezesa Spółdzielni Mieszkaniowej Aleksandra Papuzińskiego w roku 1976 przenosi się do pracy w Spółdzielni, na stanowisko wiceprezesa ds. technicznych. Rok wcześniej uzyskuje przygotowanie zawodowe do pełnienia samodzielnej funkcji projektanta w specjalności konstrukcyjno-budowlanej.

Praca w Spółdzielni Mieszkaniowej wiązała się z tworzeniem Zakładu Budowlano-Remontowego do prowadzenia działalności gospodarczej, a szczególnie do podjęcia budowy osiedla domków jednorodzinnych i bloków mieszkalnych



Powyżej: Z jego inicjatywy w 1990 roku zostaje wmurowany obraz Matki Boskiej Bolesnej na budynku Urzędu Miasta i Gminy.

Obok: Prowadził nadzór inwestorski nad budową Osiedla Działy.



Na płycie tarasu widokowego na Krzyżu na Miejskiej Górze stoją od lewej: Rudolf Zaczyński - inspektor nadzoru budowlanego i Józef Wróbel.



Rozpoczęcie prac na szlaku Drogi Krzyżowej - wykonanie fundamentów. Stoją od lewej: ks. prałat Józef Poręba, Rudolf Zaczyński, Eugeniusz Wojak.

► *na osiedlu Mickiewicza, kotłowni osiedlowej i budowy bazy dla tego zakładu przy ul. Jabłonieckiej. Pełniąc funkcję wiceprezesa ds. technicznych, prowadziłem również nadzór inwestorski nad budową osiedla Działy- tłumaczy R. Zaczyński.*

Tak więc razem z prezesem Spółdzielni doprowadzają do zabudowy szeregowej 50-ciu domków jednorodzinnych na osiedlu Mickiewicza wraz z blokami wielorodzinnymi. Zabudowa ta wpisała się znacząco w architekturę miasta.

W marcu 1978 roku urodziła się druga córka Marta.

Po śmierci inż. Mariana Głuszka kierownika wydziału architektury, nadzoru budowlanego, gospodarki komunalnej i mieszkaniowej podejmuje na nowo w 1980 r. pracę w Urzędzie Miasta i Gminy na stanowisku kierownika wydziału gospodarki komunalnej, przestrzennej i ochrony środowiska. W tym okresie jest inicjatorem opracowania wielu planów zagospodarowania przestrzennego Limanowej, m. in. centrum Sowlin i Łososiny Górnej, osiedla Żwirki i Wigury oraz planu szczegółowego osiedla Metalowców II. Był autorem projektu stadionu sportowego wraz z zapleczem socjalnym w Limanowej – Łososinie Górnej.

Plany tych inwestycji zostały zrealizowane.

W styczniu 1983 roku urodził się syn Karol, a w marcu otrzymał przydział domku jednorodzinny na os. Mickiewicza do wykończenia we własnym zakresie, co uczynił, nadwyrężając własne zdrowie. Szczęśliwy, że po tylu przygodach w przeszłości mógł zamieszkać z rodziną we własnym domu, do którego przenieśli się w wakacje tego samego roku.

Po rozmowach z zarządem Spółdzielni Usług Inwestycyjnych w listopadzie 1987r. rezygnuje ze stanowiska kierownika wydziału architektury UMIG, obejmując ostatecznie w 1988r. stanowisko projektanta w tej Spółdzielni. Tak wspomina podjętą decyzję: *Odejście z pracy było dla mnie pewnym sukcesem wyrwania się z pełnienia bardzo odpowiedzialnego stanowiska. Zdawałem sobie sprawę, że chcąc realizować i respektować ustawy i rozporządzenia, naruszałem Konstytucję, z czym ciężko mi było się pogodzić. Szczególnej kontroli były poddawane tzw. sprawy sakralne, których wiele prowadziłem. Najbardziej dotknęła mnie sprawa wydania pozwolenia na budowę budynku gospodarczego dla parafii na P sierbcu,*



W czasie obchodów 90. rocznicy bitwy na Jabłońcu R. Zaczyński wraz z małżonką Marią towarzyszą honorowemu obywatelowi Limanowej kpt. WP Janowi Krejczy.



Rudolf Zaczyński odbiera nagrodę „Lider Oświaty” województwa małopolskiego przyznaną Limanowej w roku 2005/2006.



który to budynek w trakcie realizacji został zamieniony na budynek plebanii. Po moim odejściu przeprowadzono dwie kontrole w wydziale, obie wypadły pozytywnie.

## Samorządowa rzeczywistość

Wybory do Sejmu i Senatu w 1989 r. zmieniają całkowicie rzeczywistość. Jeszcze w lipcu 1989 r. R. Zaczyński, podejmuje się kierować pracownią Spółdzielni Usług Inwestycyjnych, jednocześnie pełniąc funkcję wiceprezesa tej Spółdzielni, a już w czerwcu 1990 roku zostaje wiceburmistrzem Miasta i Gminy Limanowa.

Z jego inicjatywy we wrześniu 1990 r. zostaje wmurowany obraz Matki Boskiej Bolesnej na budynku Urzędu Miasta i Gminy w miejscu zdjętego obrazu w latach pięćdziesiątych. Ponieważ burmistrz Miasta i Gminy, Bronisław Dutka, został wybrany posłem, wiele obowiązków musiał przejąć na siebie. W tym czasie decyzją radnych miejskich następuje rozdzielenie miasta od gminy. Stanowisko wiceburmistrza w tej kwestii jest jednoznaczne. Publicznie negatywnie wypowiada się przeciw podziałowi na dwie odrębne jednostki samorządowe. Fakt ten nie przeszkodził, aby pełnił funkcję wiceburmistrza miasta po wyborach 1992 roku, w których wystartował do Rady Miejskiej i jak się okazało w tych wyborach uzyskał największą ilość głosów.

W następnej kadencji Rady Miasta, w której został wybrany radnym, powołany na stanowisko burmistrza miasta Roman Duchnik zaproponował mu funkcję sekretarza miasta. Radni jednogłośnie jego kandydaturę zatwierdzili. W trakcie pełnienia funkcji zarówno wiceburmistrza jak i sekretarza wiele spraw i problemów miasta zostało przez niego rozwiązanych. Najbardziej w jego pamięci pozostały sprawy związane z rozwiązaniem zagadnień po zniszczeniach powodziowych 1997 roku, kiedy Limanową nawiedziła druga co do wielkości w historii miasta powódź (pierwsza była w 1934 r.), która wyrządziła ogromne zniszczenia w zaledwie trzy godziny. Wiele ludzi straciło wówczas domy, należało im pomóc. To wiceburmistrz R. Zaczyński został wyznaczony przez ówczesnego burmistrza do pilotowania sprawy związanej z budową domków dla powodziaków. W czasie tej kadencji obarczony był wieloma dodatkowymi obowiązkami,

poczynając od reprezentowania miasta Limanowa na różnych forach, a przecież był wówczas tylko sekretarzem poprzez pełnienie innych dodatkowych funkcji. Kiedy następnymi wyborami samorządowymi wygrało ugrupowanie AWS, odwołano go ze stanowiska sekretarza miasta i przechodzi wówczas w 1988 r. do Starostwa Powiatu Limanowa, na stanowisko dyrektora Wydziału Budownictwa i Architektury.

Kiedy w wyborach bezpośrednich burmistrzem Limanowej w 2002 roku zostaje wybrany Marek Czczótko, a on radnym do Rady Miasta, ponownie powierza mu się funkcję wiceburmistrza, którą pełni przez dwie kadencje do 28 stycznia 2011 roku, kiedy przechodzi na emeryturę. W trakcie ostatnich dwóch kadencji wykonano wiele inwestycji, które są wspólnym osiągnięciem Rudolfa Zaczyńskiego i burmistrza Marka Czczótki. Nie pora jeszcze o nich pisać, bowiem nie ma tła porównawczego z osiągnięciami następców.

## Społecznik

Rudolf Zaczyński zaangażowany był w wiele prac społecznych realizowanych na terenie Limanowej. Najbardziej cenił pracę w Społecznym Komitecie Budowy Krzyża na Miejskiej Górze, gdzie pełnił nadzór budowlany oraz prowadził całość dokumentacji związanej z budową. W ostatnim roku pracy samorządowej opracował dokumentację limanowskiej Drogi Krzyżowej, aktywnie uczestnicząc w jej realizacji.

Mało kto w naszym mieście ma tak długi staż pracy w jednostkach Urzędów Samorządowych i zdobyte bogate doświadczenie w różnych okresach ich funkcjonowania jak inż. Rudolf Zaczyński. Jeśli dodać do tego faktu jego cechy charakteru: pracowitość, skromność, elokwencję, wysoką kulturę osobistą, to zapytać należy, czy aby nie za wcześnie został pożegnany? Jedyną nadzieją jest to, że być może włączy się w pracę społeczną, tak jak to czynił do tej pory, kiedy przecież miał dużą ilość obowiązków wynikających z zajmowanych stanowisk.

**Reportaż opracował Stanisław Ociepka w oparciu o wspomnienia Rudolfa Zaczyńskiego  
Fot. arch. rodzinnych oraz Urzędu Miasta**



Współpracownicy w czasie pracy samorządowej. Od lewej R. Kulma - przewodniczący Rady Miasta, R. Zaczyński - wiceburmistrz, M. Czczótko - burmistrz.



Pożegnanie po ośmiu latach pełnienia funkcji wiceburmistrza miasta.

# Losy limanowskiej rodziny zapis Klementyna Zubrzycka – Bączkowska

Dwadzieścia lat od powołania (w 1891 roku) Komitetu Budowy Kościoła w Limanowej, jako pomnika 100-lecia uchwalenia Konstytucji 3 Maja, zostaje rozebrany drewniany kościół oraz budynki znajdujące się w jego otoczeniu. Po długim okresie przygotowań w 1911 roku, ks. prałat Kazimierz Łazarski rozpoczyna budowę limanowskiej świątyni.

W poprzedzających te wydarzenia latach, w pierwszej limanowskiej aptece, pracuje u teścia Antoniego Müllera, Waleri Wieniawa Zubrzycki. Ponieważ apteka ta znajduje się w pobliżu drewnianego kościoła, zostaje również wyburzona.

Zubrzycki przewiduje to i w roku 1890 kupuje budynek przy ulicy Krakowskiej sąsiadujący z dobrami kościelnymi, który mieści się nieco dalej od kościoła. Posiadłość tą remontuje, przygotowując na potrzeby mieszkania, a w określonej części przystosowuje do prowadzenia apteki.

Pisałem o tym w „Echu” w artykule *Pierwsza apteka w Limanowej*, (nr 190 z lipca 2010 r.).

Ten szanowany limanowski aptekarz, wieloletni burmistrz Limanowej, gorący zwolennik powstającego kościoła, członek komitetu jego budowy, posiadający wysoki status społeczny w mieście, aktywnie wspiera realizację życiowego dzieła ks. prałata Kazimierza Łazarskiego.



Klementyna Zubrzycka-Bączkowska w latach młodości i na emeryturze.

W życiu prywatnym zabiega o dobre wychowanie dla czwórki dzieci.

Wraz z żoną Franciszką (z Müllarów) w atmosferze patriotycznej i religijnej wychowują trzy córki: Klementynę, Wiktorię, Marię oraz najstarszego syna Januarego, dając wszystkim solidne wykształcenie.

Pisał o tym w „Echu” Maciej Bilek w artykule *Historia apteki Pod Gwiazdą w Limanowej*, (nr 164 z maja 2008r.).

W 1910 roku najstarsza córka Zubrzyckich, Klementyna powraca po studiach farmacji na Uniwersytecie Jagiellońskim do Limanowej. Pracę podejmuje u ojca w aptece jako asystentka i pracuje tu do 1914 roku. Wówczas ta młoda farmaceutka zaczyna realizować jedną z wielu swoich życiowych pasji, fotografię.

Fotografuje piękne limanowskie krajobrazy i urokliwe galicyjskie miasteczko, pokazując jego kulturę materialną z początku XX wieku.



Klementyna Zubrzycka uwielbiała wycieczki i uprawiała sporty zimowe. Spacer. Na lodowisku na potoku Mordarka.



Rodzina Zubrzyckich w 1895 roku.

Zafascynowana powstającym kościołem poświęca wiele czasu na fotograficzne dokumentowanie prac związanych z jego budową.

Krystyna Bączkowska – Cynke, córka Klementyny, tak wspomina jedno z opowiadań matki związane z budową limanowskiej świątyni: *Gdy w danym dniu robotnicy wykonali pewien fragment kościoła, przychodził do nas ksiądz Kazimierz Łazarzski, który był przyjacielem naszej rodziny i mówił*



Rodzina Zubrzyckich od lewej: matka Franciszka, siostry: Wiktoria i Maria, ojciec Walery i Klementyna. Fotografia sprzed I wojny światowej.

*mamie - Klementyna, proszę chodź i zrób zdjęcia. Mama brała aparat (zapewne jeden z nielicznych w Limanowej na początku XX wieku) i wykonywała wiele zdjęć.*

Tak powstała jedyna dokumentacja fotograficzna z budowy limanowskiego kościoła. (W tym roku obchodzić będziemy 100. rocznicę rozpoczęcia jego budowy). Po wykonaniu zdjęć, a wyświeślała je sama Klementyna Zubrzycka, przekazała zbiór ks. Kazimierzowi Łazarzkiemu.

Niestety ta archiwalna dokumentacja na przestrzeni lat zaginęła. Jedyne w ostatnich latach można było spotkać pojedyncze zdjęcia w prywatnych zbiorach. Gdy przystąpiono do realizacji fotograficznego albumu o Limanowej, „Okruchoy pamięci”, dopiero wtedy po wielu latach zostały odnalezione szklane negatywy sprzed 100 lat tylko niektórych fragmentów budowy limanowskiego kościoła. Znajdowały się one w rodzinnych zbiorach Zubrzyckich - Bączkowskich. ▶



W czasie wspólnych rodzinnych, pieszych wycieczek. Klementyna z aparatem fotograficznym.



W apteczce matki, przed I wojną światową ??, Klementyna i Wiktoria.





Klementyna i Zdzisław Bączkowscy w Tatrach.



Rodzina Bączkowskich. Przy Zdzisławie - Janina, na kolanach Klementy - Krystyna - 1926 rok.

Przygotowane reprodukcje tych fotografii publicznie pokazane zostały po raz pierwszy na wystawie z okazji 90. rocznicy poświęcenia limanowskiego kościoła - 25 października 2008 roku w Miejskiej Galerii Sztuki w Limanowej.

Podczas tego wernisażu, Krystyna Bączkowska – Cynke – spadkobierczyni fotografii, na ręce ówczesnego proboszcza limanowskiej parafii ks. prałata Józefa Poręby, przekazała zbiór reprodukcji, a w późniejszym terminie przekazała również oryginalne szklane negatywy.

Obecnie ekspozycję można oglądać w budynku parafialnym obok limanowskiej plebanii.

Tak więc dzięki fotograficznej pasji Klementyny Zubrzyckiej – Bączkowskiej możemy współcześnie oglądać na fotografiach wydarzenia z początku XX wieku. Za te dokonania dziękujemy Jej, spłacając dług wdzięczności, przybliżając Czytelnikom „Echa” postać autorki tych dokonań.

Klementyna Zubrzycka, najstarsza córka Waleriana Herbu Wieniawa Zubrzyckiego i Franciszki z Müllerów, słynęła z niecodziennych, jak na owe czasy, zainteresowań. Była kobietą nowoczesną, ciągle łakomą wrażeń. Oprócz wspomnianej pasji do fotografii, uwielbiała samochody, posiadała jedno z pierwszych aut w okolicy. Kolejną jej pasją był sport. Jeździła na łyżwach, uprawiała narciarstwo, nurkowała. Dzięki motoryzacji i podróżniczej

pasji odbywała wojaże po całej Europie. Dla wyciszenia, skupiała się wykonując misterne gobeliny i różnego rodzaju serwetki, obrusy obszywane koronkami. Wiele z nich bogaciło wystrój nowo wybudowanego kościoła. Podejmowała również próby malowania limanowskich pejzaży.

Jak to osiągała? Ale po kolei.

Urodziła się 22 maja 1887 roku w Limanowej. Szkołę Powszechną ukończyła w Limanowej. Była to szkoła ludowa, która mieściła się w rynku obok drugiego drewnianego kościoła. Edukację gimnazjalną rozpoczęła u sióstr Urszulanek w Tarnowie, następnie przeniósła się do Jasła, gdzie w roku 1907 ukończyła Gimnazjum. Przed podjęciem studiów odby-



Idą ulicą Krakowską na dyżur do apteki. Od prawej Janina, Klementyna i Krystyna Bączkowskie - 1943 rok.



Przed tatrą stoją Klementyna i Zdzisław Bączkowscy. W samochodzie córki Janina i Krystyna oraz Jan Postawa, syn Marii Zubrzyckiej.

wa wymaganą praktykę w ojcowskiej aptece. W roku 1908 zdała egzamin tyrocylny i rozpoczęła dwuletnie studia na Wydziale Farmacji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Dyplom magistra farmacji otrzymała w 1910 roku, równocześnie z siostrą Wiktoria jako jedne z pierwszych farmaceutek na uniwersytecie. W tym samym roku z siostrą roz-

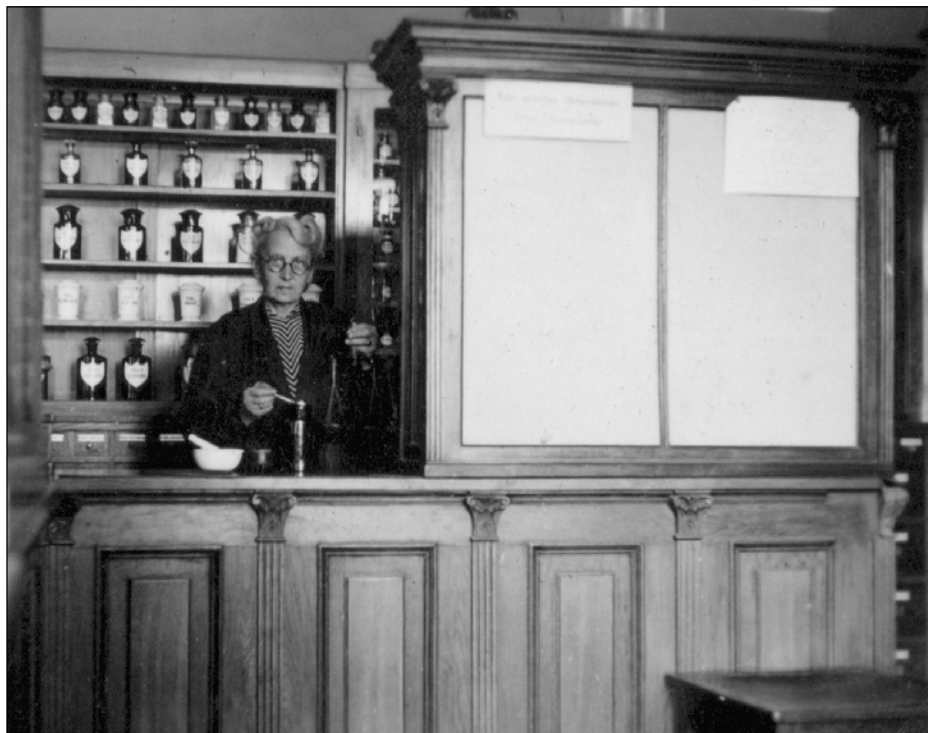
poczęły pracę w aptece „Pod Gwiazdą” w Limanowej.

Wobec zbliżających się wojsk rosyjskich w roku 1914, Walerian Zubrzycki wywiózł całą rodzinę do Grazu, pozostawiając w limanowskiej aptece młodego magistra farmacji Zdzisława Bączkowskiego, który od października 1914 roku przyjął propozycję pracy w aptece „Pod Gwiazdą”.

Do Limanowej z Grazu rodzina powraca w lipcu 1915 roku i wówczas panna Klementyna Zubrzycka poznaje zastępcę swego ojca. Pomiedzy młodymi zrodziło się uczucie, które zaprowadziło ich na ślubny kobierzec. Pobrali się w 1920 roku. Państwo Bączkowscy wychowali dwie córki: Krystynę, po mężu Cynke i Janinę Bączkowską. Obie poszły w ślady rodziców i uzyskały dyplomy magistra farmacji.

W międzyczasie Klementyna Zubrzycka w 1916 roku podejmuje pracę w aptece w Krościenku. Ostatecznie w 1917 roku powraca do Limanowej i po uzyskaniu niezbędnej koncesji oraz przekazaniu przez ojca Waleriana Zubrzyckiego apteki w 1919 roku, prowadzi ją aż do stycznia 1951 roku, do czasu upaństwowienia, pozostając nadal kierownikiem tejże apteki. Nigdy jednak nie godzi się z wyrażoną krzywdą.

Dom Bączkowskich był domem otwartym. Przyjmowano w nim licznych gości rekrutujących się z wyższych sfer. Mąż Klementyny zajmował się szeroką działalnością społeczną. Przez wiele lat pełnił funkcję prezesa limanowskiego „Strzelca”, radnego miejskiego i sprawował wiele innych funkcji. Praktycznie więc aptekę prowadziła Klementyna Bączkowska. Na ogół w aptece nie było zbyt wiele zajęć. Najwięcej czasu poświęcano na przygotowanie lekarstw, wówczas niedzielne popołudnie cała rodzina spędzała na warzeniu i fasowaniu zieleń rumianku, mazi: cynkowej, borowej, tranowej itp.



W limanowskiej aptece Klementyna Bączkowska w czasie okupacji.



Przed Szkołą Gospodarcą w Koszarach (Łososina Górna) - lata okupacji.



Klementyna Bączkowska przed własną apteką na ulicy Krakowskiej.

Lata międzywojenne należały do spokojnych, szczęśliwych i pięknych w życiu rodziny Bączkowskich. Dzięki motoryzacyjnej i podróżniczej pasji pani domu, rodzina odbywa wojaże po całej Europie. Odwiedzają m. in. Podole, Wilno, Lwów. Koleją wybrali się do: Francji, Włoch i na Bałkany. Kochają góry, więc często bywają w Tatrach. Klementyna i Zdzisław byli członkami Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i posiadali pozwolenie na przekraczanie granicy państwa.

Wybuch II wojny światowej w życiu rodziny zmienił bardzo wiele. Nie dochodzi do planowanej organizacji drugiej apteki w zakupionym budynku na południowej pierzei rynku, obok kamienicy Tomasza Biedy, wieloletniego burmistrza Limanowej w latach II Rzeczypospolitej.

W październiku 1939 roku umiera Zdzisław Bączkowski.

Klementyna Bączkowska pozostaje sama z córkami, starszą Janiną i młodszą Krystyną. Te trzy dzielne kobiety nie zamierzają poddać się beznadziejnej sytuacji terroru lat okupacyjnych, włączając się w działalność ruchu oporu.

O tej działalności napisała Janina Bączkowska w eseju zatytułowanym „Stały dyżur”, który był publikowany w wielu wydawnictwach m. in. w „Echu Limanowskim” (nr 182 z listopada 2009 roku).

To jeden z fragmentów tych wspomnień: *Apteka jest cały czas czynna i ona przez parę tygodni, ciężkich pierwszych tygodni okupacji hitlerowskiej, jest ostoją i pomocą dla ludzi(...). Apteka nasza jest jedyną czynną placówką służby zdrowia w mieście i okolicy(...).*

*Druga wojna światowa na naszych terenach to również walka na tyłach. W Górcach powstają oddziały partyzanckie, a ich dowódcy zwracają się do apteki z prośbą o zaopatrywanie w konieczne leki, środki opatrunkowe, znieczulające i surowice. Nie można im odmawiać, przecież to walczą polscy chłopcy o wolną Polskę. Z narażeniem życia pracownicy apteki dostarczają więc do lasu całe skrzynie leków, opatrunków i żywności(...).*

Po wojnie oprócz wspomnianych trudności z apteką, (została ona przejęta przez państwo), Klementynie Bączkowskiej przyszło uporać się z jeszcze jedną trudnością. Sama musiała wykształcić dwie córki. Janina, której wybuch wojny przerwał studia (zdała egzamin na farmację w 1939 r.), po zakończeniu wojny natychmiast wyruszyła do Krakowa. Studia kończy w 1948 roku i podejmuje pracę w prywatnej aptece u matki. Młodsza Krystyna, która również zdecydowała

się pójść w ślady swych przodków, studia farmaceutyczne ukończyła w 1953 roku w Lublinie. Pracę w aptece podjęła z nakazu pracy w Zielonej Górze, gdzie pracowała do 1957 roku. Ostatecznie w 1958 roku to Krystyna zostaje kierowniczką apteki w Limanowej, w której jeszcze przez dwa lata pracuje z matką, zaś Janina wyjechała do Bielska – Białej, gdzie objęła stanowisko zastępcy kierownika apteki.

Klementyna Bączkowska przeszła na emeryturę w 1960 roku. Zmarła 29 grudnia 1968 roku w Limanowej i tu spoczywa w rodzinnym grobowcu na parafialnym cmentarzu.

Odeszła kobieta, której tak wiele zawdzięcza społeczność Limanowej zarówno w służbie na stanowisku farmaceuty, jak i w utrwaleniu dziejów miasta na początku XX wieku. W spadku pozostała nieocenionej wartości zbiór fotografii. Jak wielką wartość dokumentalną mają pozostawione i przechowane przez rodzinę szklane negatywy, którymi niewiele miast w Polsce mogłoby się poszczycić, a które w 2010 roku, zostały przekazane do Muzeum Historii Fotografii im. Walerego Rzewuskiego w Krakowie, świadczy treść pisma dyrekcji tego Muzeum przysłanego na ręce córki, Krystyny Bączkowskiej – Cynke.





Na emeryturze z córką Krystyną.



Fotografie Klementyny Zubrzyckiej.

**Powyżej:** Rusztowania wewnątrz kościoła. Widok na arkady: wejściową do kaplicy (Serca Jezusowego) oraz ołtarza bocznego (M.B.Różańcowej). Na rusztowaniu na pierwszym planie stoi proboszcz Kazimierz Łazarzski, za nim ówczesny burmistrz Limanowej - Walerian Zubrzycki.

**Poniżej:** Widok z rynku na budowany limanowski kościół: rusztowania wokół wieży. Na pierwszym planie chłopiec żydowski przyglądający się fotografującej.



W piśmie tym czytamy: (...)Dla tak specjalistycznego Muzeum jak nasze zbiór przekazany przez Panią jest kapitalnym przykładem amatorskiego zainteresowania fotografią progu XX wieku, jako prywatną pasją i hobby oraz jako ciągle wtedy nowoczesną metodą poznania. W muzeum, gdzie przedmioty są najczęściej pojedyncze i nie powiązane, taki kompleksowy zespół o silnym walorze świadectwa jest cenną rzadkością, co dotyczy nie tylko samej fotografii, ale także przekazanego nam sprzętu fotograficznego, który posłużył do jej powstania. Dzięki Pani zaangażowaniu i cennej dla nas współpracy pasja fotograficzna Klementyny Bączkowskiej, która utrwaliła fragment losów Pani wyjątkowej rodziny zostanie za pośrednictwem Muzeum zdeponowana w historii.

**Tekst:** Stanisław Ociepka  
**Fotografie:** arch. rodziny Bączkowskich

Artykuł o Klementynie Zubrzyckiej powstał w oparciu o dokumenty udostępnione przez córkę Krystynę Bączkowską-Cynkę oraz Jej wspomnienia. Wyrażam podziękowanie za pomoc przy opracowaniu artykułu.

# Ogrody kwitną

Slawek Łużny

27 i 28 maja w Limanowej odbyła się tegoroczna edycja Poetyckich Ogrodów, jednej z większych i istotniejszych imprez literackich w regionie. To był już ósmy raz.

Tak, tak - już od ośmiu lat limanowscy poeci: Marek Jerzy Stępień i Antoni Mamak („posiadacz” tytułowego ogrodu przy ulicy Leśnej) niestrudzenie podejmują trud przygotowania kolejnych edycji Poetyckich Ogrodów, odkrywając i upowszechniając przy tym regionalną sztukę poetycką i jej autorów. Trzeba przyznać, że z roku na rok impreza ta kwitnie i tężeje. Jest po prostu coraz większa. Jej renoma, już ustalona, zatacza coraz szersze kręgi. Coraz więcej poetów pojawia się na niej. Nawet media – żywiące się dzisiaj zupełnie czym innym niż kultura – zdają się ją zauważać i jakoś tam obsługiwać (w tym roku, na ten przykład, Radio Kraków miało bezpośrednie łączenie w drugim dniu Ogrodów, które na żywo szło w eter). To pocieszające.

\*\*\*

Tegoroczne Poetyckie Ogrody, podobnie jak rok wcześniej, rozłożone były na dwa dni. Pierwszy dzień odbywał się w sali widowiskowej limanowskiego LDK-u. Tam przygotowano prezentacje poetyckie grupy znanych i uznanych (niektórych nawet w krajowym wymiarze) poetów, specjalnie zaproszonych na imprezę. Formalnie tegoroczną edycję Ogrodów otworzył burmistrz miasta Władysław Bieda. Rolę moderatora i prowadzącego całe przedsięwzięcie, tradycyjnie, wzięła na siebie red. Ryszard Rodzik z krakowskiego Radia ALFA. Na scenie zasiadła ósemka literatów (7 poetów: Wanda Łomnicka-Dulak, Józef Baran, Kazimierz Burnat, Tadeusz Basiaga, prof. Ignacy Fiut, Andrzej Dębkowski, Marek Stępień oraz historyk literatury prof. Bolesław Faron), którzy prezentowali swoją twórczość. Publiczność tego dnia stanowili – prócz zaproszonych gości oraz postronnych zainteresowanych – uczniowie limanowskich gimnazjów i szkół średnich. Redaktor Rodzik opowiedział o samej idei Poetyckich Ogrodów oraz zapowiadał zaproszonych poetów. Przedstawiał ich biografie, poetyckie portfolio, sukcesy oraz dorobek literacki. Sami autorzy zabierali też głos i prezentowali po kilka swoich tekstów. Wyjątek stanowił „niepoeta”, prof. Faron.



Poetyckie ogrody rozpoczęły się w sali widowiskowej limanowskiego Domu Kultury.

Zaprezentował on esej poświęcony kulisom przyznania Nobla Czesławowi Miłoszowi. Odpowiednią oprawę muzyczną tego spotkania z poetami, przygotowali i wykonali uczniowie limanowskiej Państwowej Szkoły Muzycznej pod kierunkiem Marii Poręby. Bardzo korzystnie wypadły te autorskie prezentacje poetyckie w LDK. I od strony technicznej (sala widowiskowa, z przygaszonym światłem, sprzyja tego typu przedsięwzięciom), i od merytorycznej (dobrze usłyszeć tekst prezentowany przez autora; a już poetycki – szczególnie) i od tematycznej (młodzież zebrana na sali była – chyba – autentycznie zainteresowana i reagowała spontanicznie). Na zakończenie tego dnia rozdano zebranych świeżo wydany Almanach VIII Poetyckich Ogrodów, zawierający teksty ubiegłorocznych uczestników imprezy. Jak podkreślają organizatorzy – jeśli finanse pozwolą, to z każdej edycji będą wydawane tego typu tomiki poetyckie. Po zakończeniu części oficjalnej, spotkanie poetów przeniosło się do ogrodu pana Mamaka.

Dzień drugi Poetyckich Ogrodów odbywał się już, jak w latach poprzednich, w limanowskim Muzeum Regionalnym. Wszystkich licznie zebranych powitała dyrektor LDK Stanisława Obrzut oraz Marek Stępień. Prócz grupy poetów, którzy dzień wcześniej spotkali się z młodzieżą w LDK, do Limanowej zawitali m.in. Magdalena Węgrzynowicz-Plichta (prezes krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich), prof. Jacek Kajtoch (b. wiceprezes Zarządu Głównego ZLP) oraz kilkudziesięciu poetów z terenu całej Małopolski i nie tylko. Silną reprezentację poetów wystawił, działający przy tutejszej bi-

bliotece, Limanowski Klub Literacki. Powitanie oraz przesłanie Marka Stępnia do wszystkich zebranych odczytała młoda limanowska poetka Natalia Nawalaniec. Rozpoczęły się prezentacje poetyckie. Każdy zainteresowany miał swoje pięć minut i mógł przedstawić własne teksty. Prezentacjom towarzyszyła muzyka szantowo-poetycka w wykonaniu zespołu „Zośka C-dur” z repertuarem – co podkreślał wokalista Tomasz Sporek – specjalnie przygotowanym na Ogrody.

Tematyka tekstów prezentowanych przez poetów liczna i różna, jak i oni sami. Miłość, marzenia, historia, przyroda, rodzina, komentarz do bieżącej rzeczywistości i wydarzeń społeczno-politycznych. To tak w ogóle. Pojawił się nawet jeden fajny tekst napisany pod wpływem spotkania poetyckiego z dnia poprzedniego. Łuźna i serdeczna atmosfera fajnie konsoliduje to regionalne poetyckie środowisko już od kilku lat. Po prezentacjach, wspólnym posiłku i dyskusjach kulturalnych, poeci ponownie przenieśli się do ogrodu sensu stricto – pana Antoniego Mamaka pod Chłopską (Miejską) Górą. Aura co prawda zbuntowała się i stanęła okoniem, ale nie przeszkodziła aż tak, by zaprzestać w świętowaniu udanej, tegorocznej imprezy. Na poetów nie masz mocnych.

\*\*\*

*... Ja chciałbym być poetą - bo byczo u poety - bo u poety cztery żony - a z każdą dawno rozwiedziony - a ja lubię kobiety ...*

Do następnego roku.

**Fotografie: Marta Mamak  
Slawek Łużny**





**Powyżej:** W ogrodzie Antoniego Mamaka na mostku stoją od lewej: Ryszard Rodzik, Kazimierz Burnat, Tadeusz Basiaga, Marek Jerzy Stępień, Andrzej Dębowski, Antoni Mamak, Bolesław Faron, Józef Baran.

**Po prawej:** Poeci prezentowali własne teksty na spotkaniu w Muzeum Ziemi Limanowskiej.

**Na dole:** Na zakończenie poetyckich ogrodów uczestnicy spotkali się przy kominku u Antoniego Mamaka.



*Ja chciałbym być poetą - bo dobrze jest poecie - bo u poety nowy sweter - zamszowe buty, piasek seter - i dobrze żyć na świecie. Bo fajno jest poecie - nie musi w biurze ślipić - i fuk mu cała dyscyplina - tylko gitara i dziewczyna - i złote gwiazdy liczyć. I mylić się i liczyć - i liczyć wciąż od nowa - na ziemi w drzewie i błękitcie - trudnego szukać słowa.*

Niewykluczone, że nawet Andrzejowi Bursie, znakomitemu krakowskiemu poecie z kręgu „wyklętych”, którego fragment wiersza powyżej (i poniżej), spodobałyby się Ogrody, gdyby żył i mógł tu być.

Jakkolwiek żaden z poetów/żadna z poetek nie mieli ze sobą „pieska setera”, to „gitara i dziewczyna” była. Niejedna.







## Dzień Dziecka Biesiadne grillowanie

12 czerwca po raz kolejny Związek Limanowian wraz z Krakowską Kongregacją Kupiecką Oddział w Limanowej przy wsparciu Limanowskiego Domu Kultury zorganizowali festyn dziecięcy połączony z imprezą Biesiadne grillowanie na placu obok Limanowskiego Domu Kultury.

Festyn dla dzieci finansowany był jak co roku z dobrowolnych datków członków Związku Limanowian oraz sponsorów, którzy pragnęli sprawić radość dzieciom i wywołać uśmiech na ich twarzach.

Organizatorem Biesiadnego grillowania była KKK O/Limanowa. Drużynami grillującymi w tym roku były: Krakowska Kongregacja Kupiecka O/Limanowa, ZSS nr 1 w Limanowej, „Sowlinioki”, Stowarzyszenie Miast i Gmin Partnerskich Limanowej i ZNP Limanowa, ZS nr 1 w Limanowej.

Łącznie podczas Dnia Dziecka i Biesiadnego grillowania zebrano kwotę prawie **8 tys. zł**, która w całości przeznaczona będzie dla limanowskich dzieci wyjeżdżających na rehabilitację do kliniki w Truskawcu.





**SPONSORZY:** „GOLD DROP” spółka z.o.o., Firma „EMITER” - Stanisław Bieda i Piotr Lis, Hurtownia „KULINAR” - Agnieszka i Stanisław Puch, FHU „TRANSBLACH” - Jan Gaik, Firma „PRO-DACH” Krzysztof Gaik, Urządzenia Chłodnicze - Marek Czamara, Zakład Stolarski - Krzysztof Bieda, Przedsiębiorstwo Produkcji Łódź „KORAL”, Firma LIMBLACH - Jarosław Włodarczyk, „WOLIMEX” - Eugeniusz Wojak, JOWISZ - rodzina Kubackich, Materiały Budowlane Marian Włodarczyk, Księgarnia „SOKÓŁ” - Barbara Budacz, Firma „IMPULS” - Grażyna i Maciej Wojtas, Usługi Budowlane - Jan Wojtas, Biuro Projektowe - Andrzej Drożdż, Sklep Muzyczny MEG - Marek Smosna, Kafeteria WENECJA - Krystyna i Zbigniew Król, Biuro Projektowe - Janusz Burkat, Sklep PLASTUŚ - Halina i Artur Zapała, Zakład Remontowo - Budowlany - Marian Sułkowski, Sklep KASZTANEK - Alicja, Tomasz i Grzegorz Wygoda, Hurtownia FREMAR - Fryderyk Borowicz, Sklep HENMAN - Maria i Henryk Kurczab, Sklep Jubilerski - Marta i Maciej Zaremba, Firma Gastronomiczna „JACKÓWKA” - Maria i Zdzisław Puch, Sklep „JUHAS” - Józef Kaim, Hurtownia „SALAM” - Marta i Marek Bednarczyk, Kwaciarnia „ORCHIDEA” - Miłosz Król, Hurtownia „WRONA” - Barbara i Jerzy Wrona, Wytwórnia Wód Gazowych „PIWNICZANKA” - Ryszard Skwarczek, „Czarama Meble” - Stanisław Czamara, Firma Transportowa - Bogdan Franczak, LIMATUR - Andrzej Pilawski, Klub QUADÓW - Marek Czamara, SERVIS SAMOCHODOWY - Jacek Wyrwa, Klub Karate - Zbigniew Goliński.





## KAMIENIOŁOM MĘCINA



- Oferuje:
- tłuczeń
  - kliniec
  - kamień łamany
  - kamień ogrodowy

Sprzedaż kruszyw Męcina

tel. 018/ 33 27 420  
fax 018/ 33 27 444  
kom. 661 330 797

## ZAKŁAD USZLACHETNIANIA KRUSZYW NATURALNYCH W CHARZEWICACH



- Oferuje:
- grysy
  - piaski
  - mieszanki

Sprzedaż kruszyw Charzewice  
32-840 Zakliczyn

tel: (014) 66 59 193  
tel: (014) 66 59 194  
fax (014) 66 59 158

## ZAKŁAD WYROBÓW BETONOWYCH



- Oferuje:
- masy betonowe,
  - kręgi, rury, krawężniki,
  - korytka ściekowe,
  - kostka betonowa, obrzeża,
  - płyty drogowe, płyty Jomb,

Sprzedaż mas i wyrobów betonowych  
ul. Tarnowska 33 34-600 Limanowa

tel: (0-18) 337-68-62  
fax: (0-18) 337-61-59



# Stop papierosom!

Już po raz czwarty limanowska młodzież postanowiła uczcić marszem „Światowy Dzień bez Tytoniu”. Marsz odbył się w dniu 31.05.2011 r. Ostrzeżenia przed skutkami nałogu dominowały w hasłach i przewijały się w programie przygotowanym na placu pod Limanowskim Domem Kultury.

Pomysł zorganizowania „Marszu przeciwko Paleniu” zrodził się przed czterema laty w Zespole Szkół Nr 1 im. Józefa Piłsudskiego w Limanowej. Uczniowie postanowili wypowiedzieć wojnę papierosom. W przyjaznej atmosferze stworzonej przez dyrektora ZS Nr 1 mgr. Eugeniusza Bogacza i pod czujnym okiem koordynatorów: higienistki szkolnej Janiny Marcisz i mgr Zofii Knapik przebiegały przygotowania. Do udziału w Marszu zostały zaproszone również inne szkoły ponadgimnazjalne. Współorganizatorem była Powiatowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna, a oprawę wizualną sponsorowało Starostwo Powiatowe w Limanowej.

Punktualnie o godzinie 10<sup>15</sup> w dn.31.05.2011r. korowód uczniów radośnie prowadzony przez uczniów z kl. II LO Józefa Kowalskiego i Rafała Podgórni wyruszył sprzed budynku szkoły, machając trzymanymi w dłoniach białymi balonikami z napisem „nie palę”. Grupa ruszyła ulicami Piłsudskiego i Jana Pawła II w kierunku limanowskiego Domu Kultury. Nad bezpieczeństwem w drodze czuwała Policja Drogowa z Komendy Powiatowej Policji w Limanowej. Część szkół uczestniczyła w Marszu już od samego startu, inne dołączyły w drodze.

W Marszu tradycyjnie szedł Dyrektor ZS Nr 1 w Limanowej Eugeniusz Bogacz, przedstawiciele PSSE, Starostwa Powiatowego w Limanowej, a także spora część grona pedagogicznego oraz pielęgniarki szkolne. Na scenie pod Limanowskim Domem Kultury na maszerujących czekała młodzież z przygotowanym programem artystycznym. Nagłośnienie zostało udostępnione przez dyrektor LDK Stanisławę Obrzut, a obsługiwał je pan Jerzy Pacułt. Tutaj dołączyli też ks. prałat dr Wiesław Piotrowski proboszcz parafii pod wezwaniem MBB w Limanowej oraz dyrektor Wydziału Promocji Miasta Limanowa pani Jolanta Szylar. Apel z prośbą o podjęcie stosownych działań zmierzających do ograniczenia palenia w limanowskim środowisku odczytała młodzież z Samorządu ZS Nr 1 w Limanowej.

Swoimi odczuciami na temat palenia papierosów podzielili się z młodzieżą: ks. proboszcz Wiesław Piotrowski, dyr. ZS Nr 1 w Limanowej Eugeniusz Bogacz i dyrektor Promocji Miasta Limanowa pani Jolanta Szylar.

Na scenie prawdziwy popis dał Zespół Consonans, który w tym roku obchodził 40 lecie istnienia, jak zwykle świetnie przygotowany przez mgr. Leszka Mordarskiego. Śmiech wzbudził występ Krystiana Wiktora, który przedstawił skecz pt „Śmierć”. Całość świetnie prowadzili Ewelina Szubryt i Krystian Wiktor, tegoroczni maturzyści.

Uczniowie wrócili do szkół, a na rynek wyruszyły dziewczęta ubrane w białe koszulki z zielonymi płucami, które rozdawały ufundowane przez Starostwo Powiatowe w Limanowej ulotki palącym i niepalącym mieszkańcom Limanowej, zachęcając do prowadzenia zdrowego stylu życia bez dymu tytoniowego.

**Zofia Knapik**



# Trwał do końca na posterunku



Leopold Winter (pierwszy z lewej) na rynku limanowskim w latach trzydziestych XX wieku.

**Wysmukły szczupły pan o postawie budzącej respekt i zadbanej siwej fryzurze z łatwością rozpoznawalny na wielu powojennych fotografiach to Leopold Winter. Kiedy przegląda się archiwalne fotografie na wielu z nich wyróżnia się Jego postać, gdzie na tle rzeszy limanowskiego społeczeństwa góruje On nad ich głowami. Tak jest na wielu zdjęciach z lat czterdziestych XX wieku prezentujących szereg uroczystości, w których uczestniczył jako powojenny burmistrz Limanowej. Jego działalność społeczna po II wojnie światowej była bardzo bogata. W pamięci starszych limanowian pozostał jednak jako wieloletni pracownik sądu, tak bowiem w rzeczywistości było.**

**Kiedy w roku 1960 obchodził jubileusz 60 lat pracy w sądownictwie ówczesna prasa donosiła: *Leopold Winter mimo podeszłego wieku (ukończył 79 lat) zjawia się codziennie w pracy już o godz. 7<sup>00</sup> i przygotowuje akta spraw na dzień bieżący, gdyż pełni funkcję kierownika sekretariatu Sądu Powiatowego w Limanowej. Mimo podeszłego wieku doskonale orientuje się w sprawach, pamięta nawet numery ważniejszych przewodów sądowych sprzed lat.***



W ogrodzie przed „Winterówką” pracownicy sądu w Limanowej w czasie uroczystości 50-lecia pracy sekretarza sądu Leopolda Wintera - 2 maja 1948 rok. Stoją od lewej: Stanisław Szewczyk, Stanisław Krasuń, Ryszard Kosiński, Jerzy Kwieciński, Henryk Turnelle, Marian Harasek, ??, Tadeusz Kucharczyk, ??, Marian Kędroń, Antoni Kozłowski, Witold Mól. Siedzą od lewej: Dymitr Łoziński - naczelnik sądu, Józef Jaroński, ? Rudnicki, Maria i Leopold Wintrowie, Józef Różański, Zbigniew Fleszar - starosta, ? Kolbuszewski.

Leopold Winter urodził się w 1880 roku w Limanowej w rodzinie inteligenckiej. Dom rodzinny Winterów znajdował się w okolicy małego rynku. Ojciec Jan, matka Maria z Biedroniów mieli ośmioro dzieci, pięciu synów: Leopolda, Tadeusza, Wacława, Franciszka, Walentego oraz trzy córki: Wiktorię, Teofilę i Marię.



Obchody Święta Niepodległości na limanowskim rynku. Jako pierwszy idzie Leopold Winter. Lata międzywojenne



Przed głównym wejściem do Sądu Grodzkiego w Limanowej (dziś Miejska Biblioteka Publiczna) stoją pracownicy sądu. Od lewej: Leopold Winter - sekretarz sądu, Stanisław Krasuń - sędzia, Marian Kędroń (przy drzwiach) - sekretarz, Dymitr Łoziński - prezes sądu, ? Jabrucki (przy drzwiach) - woźny, ??, Tadeusz Kucharzyk (przy drzwiach) - sekretarz, Marian Harasek - rejent, Stanisław Szewczyk - adwokat, Antoni Kozlecki - kierownik hipoteki - 1946 rok.

Leopold był chłopcem wysportowanym. Należał do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Limanowej. W roku 1896 uczestniczył w III zlocie sokolników w Krakowie, biorąc udział w ćwiczeniach jako druż mundurowy. W następnych latach jako już dorosły młodzieniec włączył się w działalność tego Towarzystwa. Przed pierwszą wojną światową był jednym z prezesów limanowskiego „Sokoła”, przejmując przewodnictwo tej organizacji od Józefa Marsa.

Należał do grupy organizatorów Stałej Drużyny Polowej limanowskiego „Sokoła”, która w 1912 roku brała udział w szkoleniu wojskowym. Drużyna ta w sierpniu 1914 roku wyruszyła do walki w szeregach Legionów. Aktywnie uczestniczy w działalności „Sokoła” w okresie międzywojennym, współorganizując życie sportowe w Limanowej, które przerywa wojna.

Na początku lat pięćdziesiątych uczestniczy w próbie reaktywowania Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, znajdując się w składzie powołanego komitetu organizacyjnego, niestety bezskutecznie.

Po odzyskaniu niepodległości włącza się w szeroką działalność społeczną. Był członkiem Gminnej Komisji Letniskowo-Turystycznej organu pomocniczego i doradczego Rady Miejskiej i Magistratu powołanej w 1936 roku. Komisja ta miała za zadanie opracować plany rozwoju ruchu turystycznego i letniskowego Limanowej. Ze względu na ważność zadań, komisję prowadził ówczesny burmistrz Tomasz Bieda.

Był w składzie komitetu wykonawczego nadającego w 1936 roku obywatelstwo honorowe Limanowej, ministrowi spraw zagranicznych Józefowi Beckowi, który był związany z Limanową przez ojca, wieloletniego działacza samorządowego. ▶



Pierwsze po II wojnie światowej bierzmowanie limanowskiej młodzieży. Biskupa Karola Pękale wita ówczesny burmistrz miasta Leopold Winter - 1947 roku. Fotografię wykonano na ulicy Krakowskiej. Po lewej stronie istniejący do dzisiaj budynek, po prawej nieistniejący zakład fotograficzny Franciszka Fijała.





Leopold Winter - pośród dzieci świetlicy dziecięcej w Limanowej - 1946 rok.



Burmistrz Leopold Winter z mieszkańcami Limanowej na „Siwym Brzegu” w czasie akcji zalesiania.

Leopold Winter zajmował się również działalnością edukacyjną. Jako wieloletni sekretarz Sądu Grodzkiego w Limanowej, wykładał prawoznawstwo w Doksztalczącej Szkole Zawodowej, która mieściła się w budynku przy Szkole Powszechnej w rynku (była to pierwsza szkoła zawodowa w Limanowej, zorganizowana w 1924 roku).

Ożenił się z Marią Lebdówną. Winterowie mieli jednego syna Jakuba, który mając dziewięć lat zmarł.

W okresie międzywojennym Leopold Winter, buduje dom w rejonie byłej „targowicy”, obecnie powyżej (dworca PKS). W pięknie utrzymanym dużym ogrodzie dom, tzw. „Winterówka”, został osadzony na wysokiej kamiennej podmurówce. Symetryczna kompozycja fasady z czterema oknami i ozdobnym gankiem oraz z pokojem na pięterku z balkonem otoczonym tralkową balustradą dawały urok rodzinnego gniazda.

Po wojnie przystępuje do aktywnej pracy. Zostaje członkiem Powiatowej Komisji Odbudowy, której zadaniem m. in. było rejestrowanie szkód po II wojnie światowej w powiecie limanowskim. Po powołaniu Miejskiego Komitetu Opieki Społecznej staje na jego czele, bowiem nie są mu obce sprawy związane z powojenną biedą ludności limanowskiej szczególnie w mieście. Zadaniem

MKOS było niesienie pomocy przez zorganizowanie kuchni, w której prowadzono bezpłatne żywienie oraz dożywianie, dokonywano przydziału odzieży, opału, rozdzielano paczki z darów organizacji UNRR-y, a nawet udzielano zasiłków pieniężnych.

Leopold Winter szczególnie był wrażliwy na biedę wśród dzieci, włącza się więc w organizację dla nich pomocy.

Nadzorował sekcję kulturalno-oświatową świetlicy dziecięcej, którą prowadzili Stefania i Marian Borzemscy. Wspierał ich radą oraz pomocą w pozyskiwaniu środków finansowych na jej działalność.

22 kwietnia 1945 roku zostaje wybrany burmistrzem Limanowej w miejsce Tomasza Biedy, który po wojnie tę funkcję pełnił krótko. Po wyborze na burmistrza zostaje delegatem do PRN, a w czerwcu radnym MRN w Limanowej.

W tych trudnych powojennych latach Zarząd Miasta wraz z burmistrzem musiał stawić czoła codziennym problemom życia związanym z funkcjonowaniem miasta. Oprócz rozwiązywania bieżących spraw mieszkańców Limanowej, Leopold Winter, inspirował w szerokim zakresie działalność kulturalną. Uczestniczył w pracy Towarzystwa Ludoznawczego, prowadząc odczyty. Będąc członkiem Towarzystwa Życia Kulturalnego,

propaguje imprezy kulturalne w mieście i powiecie przez organizowanie imprez teatralnych, akademii.

Należy do zwolenników dynamicznego rozwoju oświaty, wspiera wszystkie działania, które do tego prowadzą, m. in. w 1947 roku zostaje otwarta Powiatowa Biblioteka na ulicy Orkana.

W lutym 1949 roku zostaje usunięty ze stanowiska burmistrza miasta jako „element niepewny”, a na jego miejsce zostaje wprowadzona Anna Suflita, która



Na mostku potoku Mordarka z rodziną.



Otwarcie Biblioteki Powiatowej przy ulicy Władysława Orkana w roku 1947. Od lewej: Stanisław Ceglaz - inspektor szkolny, Zbigniew Fleszar - starosta powiatu, Leopold Winter - burmistrz miasta.



W rynku przed budynkiem Zarządu Miejskiego Leopold Winter z pracownikami.

równocześnie obejmuje funkcję przewodniczącej MRN (w miejsce usuniętego sędziego Stanisława Krasunia).

Powraca do pracy w sądzie, gdzie pracuje do czasu przejścia na emeryturę. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych codziennie można było spotkać starszego pana, który w postawie wyprostowanej z charakterystyczną laseczką przemierzał drogę z domu do pracy w limanowskim sądzie.

W roku 1969 odchodzi szanowana osoba, człowiek, który mając 89 lat do końca trwał na posterunku.

Był ostatnim przedstawicielem rodziny Winterów. Pochowany został na parafialnym cmentarzu po lewej stronie kaplicy Marsów, nieopodal mogiły przedwcześnie zmarłego jedyne go syna.

**Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci” arch. rodziny Kurtyczów oraz arch. rodziny Krasuniów**

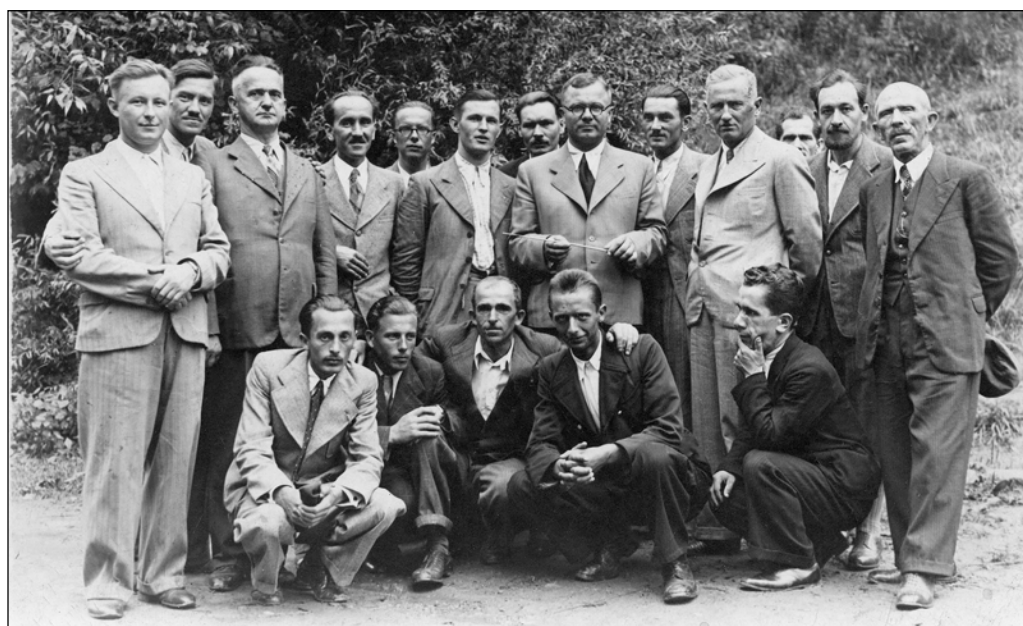
*Przy opracowaniu korzystano z monografii „Limanowa dzieje miasta” tom I i II oraz wspomnień Leopolda Kucharczyka, potomka (po kądzieli) rodziny Winterów.*

*Dziękuję Pani Marii Kazimierczak oraz Panu Leopoldowi Kucharczykowi za pomoc w opracowaniu artykułu.*

**Stanisław Ociepka**



Obok L. Wintra lekarz Leśniakiewicz.



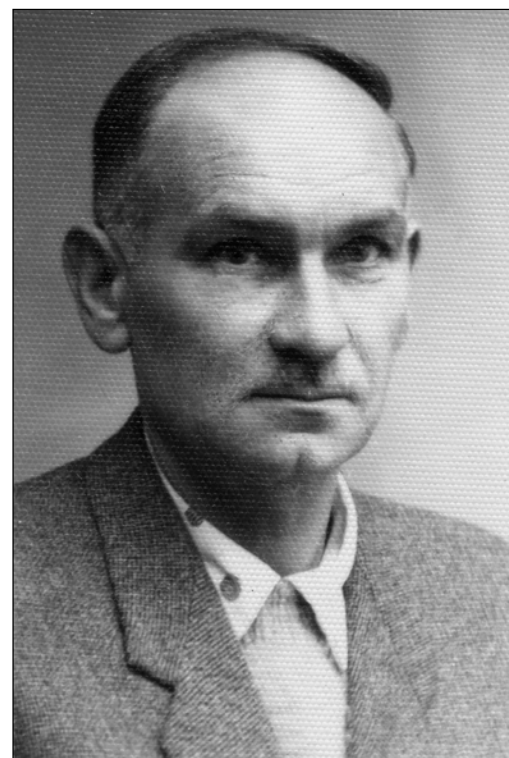
Sekretarz sądu Leopold Winter wśród limanowian.

# Pozostały tylko wspomnienia

Opowieść o losach jednego z wielu Kresowiaków, którego los związał z Limanową, można przywołać dzięki pamięci, bogatej wiedzy i osobistej wrażliwości spadkobiercy przejętych tradycji o historii regionu wschodnich rubieży Polski.

Sam autor (podobno kresowość się dziedziczy) spisanych na kilkudziesięciu stronach wspomnień, które stały się źródłem opracowania tego artykułu, napisał we wstępie: „Mogłem tych kilka słów napisać o ojcu Franciszku Pankiewiczowi dzięki temu, że szanował On do końca swojego życia słowo pisane i skrupulatnie przechowywał wszelkie rodzinne dokumenty i fotografie. Szczęśliwa okoliczność sprawiła także, że młodszy jego brat „repatriowany” na zachód po wojnie w 1946 roku, przywiózł do Limanowej zachowane skarby z lat 1907 – 1939.

Kolejnych dokumentów doszukałem się, kwerendując po różnych archiwach już za czasów wolnej Polski” - wspomina syn, Franciszka, Marek Pankiewicz.



Franciszek Pankiewicz w Kamionce Strumiłowej (lata trzydzieste) oraz w Limanowej (lata sześćdziesiąte).

## Szczęśliwe lata młodości

Franciszek Pankiewicz pochodził z Kamionki Strumiłowej, w dawniejszych czasach pisanej przez dwa „P” (K. Strumiłowa), powiatowego, galicyjskiego miasteczka w województwie tarnopolskim. W okresie międzywojennym była tam poza PKP regularna komunikacja autobusowa ze Lwowem. Pierwotnie miasto znane było pod nazwą Dymoszyn.



Franciszek Pankiewicz stoi obok matki. Na kolanach siedzi młodszy brat, obok stoją siostry - 1918 rok.



Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” w Kamionce Strumiłowej. F. Pankiewicz stoi piąty z lewej.



W drugiej połowie XV wieku własność Jerzego Strumiły, który w 1471r. ufundował kościół i wystarał się o nadanie miejscowości praw miejskich na warunkach prawa magdeburskiego. Od 1578 r. mieścił się w Kamionce Strumiłowej skład soli.

Do pierwszego rozbioru Polski miejscowość była miastem królewskim i starostwem niegrodowym. W 1787 r. przechodzi z rąk władz austriackich na własność rodziny Cetnarów, a następnie Mierów, która to rodzina ok. 1860 r. wybudowała w Kamionce pałac. Kamionka Strumiłowa, położona nad górnym Bugiem, jest pięknym miastem, pełnym urokliwych meandrów, zakoli, starorzeczy, stawów.

Jeszcze 1914 roku w mieście tym zamieszkiwało: 2100 Polaków, 2000 Rusinów, 3600 Żydów, żyli oni razem zgodnie. Za niecałe 30 lat Żydzi znikną w otchłani Holocaustu, Polacy zostaną wymordowani, a niewielu uda się uciec tak jak Franciszkowi Pankiewiczowi do Limanowej. Pozostali zostaną przymusowo wysiedleni.

Franciszek Pankiewicz urodził się jeszcze za C i K austriackich czasów w roku 1907. Mieszkał przy ul. Fedkowicza. Tam ukończył Szkołę Powszechną, a następnie 8 klasowe Gimnazjum Męskie im. Kornela Ujejskiego.

W tych biednych, ale ciekawych czasach, początku lat dwudziestych XX wieku, młodzi chłopcy spragnieni byli przygód. Zaczynali więc realizować własne marzenia od wakacyjnych wypraw łodzią po Bugu, a gdy w następnych latach rozstali się z rzeką, ruszyli odkrywać góry. Na początek w Czarnohorę, potem przyszedł czas na Gorgany z Popadią i innymi szczytami, a następnie Bieszczady Wschodnie z Pikujem, które jeszcze w owych czasach nie nazywały się Bieszczadami. Podczas kolejnych, wakacyjnych lat, wyruszali dalej na zachód, do krainy Bojków i Łemków na połoniny Bieszczad Zachodnich. Później przyszedł czas na Beskid Niski i Sądecki. W 1928 roku dotarli już w Pieniny i o dziwo aż do Limanowej, gdzie przygarnął pod swój dach strudzonych chłopców tak długą wędrówką jakiś gospodarz z Mordarki. Zapewnił im wikt i odpoczynek i to bezinteresownie. Czekala ich

bowiem długa podróż powrotna, początkowo koleją transwersalną, przez Nowy Sącz, Jasło, Krosno, Sanok, Zagórz, Chyrów i Sambor, a później przez Lwów do celu, do rodzinnej Kamionki Strumiłowej. Były to ich ostatnie szkolne wakacje. W następnym roku czekała ich matura. A ten uczynny gospodarz z Mordarki, okaże się za 15 lat bardzo ważną postacią w życiu Pankiewicza i jego rodziny.

Oprócz pasji turystycznych Franciszek Pankiewicz uprawiał aktywnie pływanie na dłuższych dystansach, jeździł na łyżwach (taniec figurowy). Poza tym grał w piłkę nożną w miejscowym klubie. Udzielał się też w lekkiej atletyce. Był członkiem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. W tych latach, jak na małomiasteczkowe warunki, był znanym i lubianym sportowcem. Ukończył „Związkowy kurs instruktorski wychowania fizycznego” w Kozłowie. Był również aktywnym członkiem Związku Strzeleckiego.

Egzamin maturalny zdał w 1929 roku. „Dlaczego tak późno? Miał wówczas 22 lata” - zastanawia się syn Marek, przeglądając świadectwa i dokumenty ojca nie stwierdził powtarzania żadnej klasy. „Przyczyny takiego stanu rzeczy mogły mieć jedynie związek z czasami wojennymi. Wielokrotnie ojciec wspominał, że przyglądał się walkom z przydomowego drzewa, ale szybko uciekł na dół, gdy usłyszał wśród liści świst kul. Opowiadanie to nie przekonywało, czy on sam brał udział w tych walkach. Dopiero gdy otrzymałem z Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie materiały personalno-odznaczeniowe z okresu międzywojennego dotyczące ojca, sprawa została wyjaśniona” - tłumaczy syn Marek.

Z dokumentów tych wynikało, że jako 12-latek, 14 listopada 1918 r. w krytycznym czasie walk z Ukraińcami we Lwowie zgłosił się jako ochotnik do Wojska Polskiego i został przydzielony do Rządowej Straży Bezpieczeństwa. Brał udział w szeregu ciężkich walk na peryferiach miasta, gdzie odznaczył się szczególną odwagą, męstwem i gorliwością służby. Dowodem są posiadane odznaczenia - „Orleń” Lwów - 26 kwietnia 1921 rok.



Adept Szkoły Podchorążych w Gródku Jagiellońskim. Z kolegami na Bugu.



Żona Irena, syn Leszek i por. Franciszek Pankiewicz - 1938 rok.



Pracownicy Urzędu Skarbowego w Kamionce Strumiłowej. Naczelnik F. Pankiewicz siedzi pośrodku - druga połowa lat trzydziestych.

W 1920 roku wrócił do szkoły. Po maturze ukończył roczną Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty w Gródku Jagiellońskim. W 1931 r. podjął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, które niestety przerwał po dwóch latach z powodu braku środków finansowych i rozpoczął karierę urzędniczą, ale o tym w dalszej części opowiadania.

## Kariera wojskowa

„Powąchawszy prochu w bojach” o Lwów z Ukraińcami i ukończeniu po maturze Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty, Franciszek Pankiewicz, zostaje powołany na kolejne ćwiczenia wojskowe.

W 1932 i 1933 r. odbywa służbę w 26. Pułku Piechoty we Lwowie. Tam poznał przyszłą żonę Irenę. Pobrali się w 1935 roku. W międzyczasie w Jaworowie w 1936 roku przychodzi na świat pierwszy syn Leszek. Niedługo po tym otrzymał awans na swój pierwszy oficerski stopień – podporucznika. Jesienią 1935 roku powołano go do 5. Pułku Strzelców Podhalańskich w Przemyślu, gdzie odwiedziła go świeżo poślubiona małżonka. Z tego spotkania długo jeszcze po II wojnie światowej wspominała, wówczas młoda małżonka, pewien epizod: „Franciszek leżał w lazarecie chory. Był już oficerem, przysługiwał mu więc ordynans (taki Józef Szwejk). W czasie gdy żona siedziała przy łóżku, ordynans przyniósł prosto z kantyny oficerskiej gorący pachnący obiad. I co? - Franiu powiedział, że nie ma apetytu i kazał ten obiad zjeść pucybutowi, a żona prosto z podróży była taka głodna, a on nie spytał drań, czy aby czegoś nie zje. Cóż, obeszła się smakiem i miała żal. Jeszcze przez 30 lat wypominała mężowi ten obiad tłukąc się po kuchni jak ją czasem czymś zdenerwował.

Jaka była dalsza kariera wojskowa podporucznika Pankiewicza? Kiedy do 5. Pułku Strzelców Podhalańskich na lądowisko Winna Góra wypożyczono balon obserwacyjny typu BD (Ballon Dilatable), to po krótkim przeszkoleniu Franciszek Pankiewicz został „pilotem balonowym”. Dla odmiany w 1937 roku naszego bohatera powołano do 49. Huculskiego Pułku Strzelców Górskich w Kołomyi. Tam spotkał żołnierza z Mazowsza, z którym drogi ponownie skrzyżują się po 10 latach, ale już w Limanowej – żołnierz ten nazywał się Jan Śliwiński.

Ostatnie sześciotygodniowe ćwiczenia odbywa 1939 roku w Łucku na Wołyniu w 24. Pułku Piechoty, do którego równocześnie dostał przydział mobilizacyjny na wypadek wojny. Długo nie czekał, już 31 sierpnia 1939 roku Franciszek Pankiewicz otrzymuje kartę mobilizacyjną do wyżej wymienionego pułku i wraz z przyjacielem ze studiów prawnych Marianem Ligaszewskim udaje się do jednostki. Po przybyciu na miejsce mobilizacji zastali już puste koszary. Oficer dyżurny podał im ostatni wiadomy teren postoju, więc pogonili za swoim pułkiem. 17 września znaleźli się pod Zdołbunowem, gdzie dotarł ich oddział wojskowy. Na bocznicę kolejowej, wśród pociągów wojskowych stało kilka wagonów z końmi, które zapaliły się podczas wymiany ognia, prawdopodobnie od przewożonego siana. Franciszek Pankiewicz biegał koło nich, próbując do końca ratować te biedne zwierzęta. Otoczeni przez „krasnoarmiejców” złożyli broń. NKWD z szeregow żołnierzy wygarnęło wszystkich oficerów i popędziło ich kolumną jeńców na wschód. „Szli pieszo, traktem wołyńskim w kierunku granicznej rzeki Horyń ku nieznannej przyszłości” – opisuje syn Marek i dalej wspomina. „Ojca wzięto do niewoli w połowym, drelichowym mundurze – bez płaszcza. Ubrany był tylko w spodnie i bluzę. Miał jeszcze torbę raportową, którą wcześniej ruscy wypróżnili mu z dokumentów, zostawiając jedynie przybory toaletowe. Wrześniowa pogoda była jeszcze słoneczna, ale wieczory i noce były już zimne. Co jakiś czas NKWD-ści zarządzali dla odpoczynku postój przez nich nazywany „popas”. Sowietci nie dawali jeńcom ani łyżki strawy, ale najbardziej dręczyło utrudzonych ciężkim marszem pragnienie. W czasie tych krótkich chwil „popasów” zbiegali się z okolicznych chałup ludzie, głównie kobiety, wśród lamentów podawali jeńcom chleb i rozdawali w kubkach wodę. W czasie jednego z tych dziennych „popasów” ktoś ulitował się nad ojcem, widząc, że jest w letnim mundurze i dał mu stary, brudny ale gruby i ciepły płaszcz sięgający do kostek, a pamiętający prawdopodobnie jeszcze carskie czasy. Szynel ten przypominający strój pastucha, uratował jak się później okazało życie ojca i pozwolił mu przetrwać na zimnie jeszcze wiele nocy. Na którymś z kolejnych „popasów” zbiegły się jak zwykle kobiety i kilku chłopów, aby nakarmić biednych żołnierzy. Żołdacy z NKWD stwierdzili, że ludność miejscowa w swym okazaniu sympatii jeńcom okazała się zbyt nachalna, więc zaczęli ich bagnietami odpychać.



W czasie ćwiczeń wojskowych w latach trzydziestych. F. Pankiewicz z zasłoniętym okiem.

Szczęśliwym trafem ojciec miał zarzucony na mundur, ten stary, darowany z serca, wypłowiały płaszcz. Stał wtedy na skraju konwoju. Ktoś z bolszewickich żołnierzy, przeganiając wieśniaków od jeńców, zagarnął bagnetem również ojca i wypchnął go poza kordon NKWD. Okazało się, że ten śmierdzący płaszcz ukrywał w sobie cudowny zapach wolności. Oszołomiony początkowo ojciec nie wiedział co robić. Ochłonął po chwili i zaczął rozglądać się za przyjacielem Marianem.

Zauważył go siedzącego na skraju drogi z opuszczoną głową i twarzą ukrytą w dłoniach. Chciał mu jakoś dać znać, że jest już poza kordonem straży. Bał się krzyczeć, bo w pobliżu stali radzieccy żołnierze. Odpiął więc spod szynela swoją raportówkę, upuścił dyskretnie na ziemię i kopnął ją w kierunku Ligaszewskiego. Ta przesunęła się po piachu kilka metrów i zatrzymała zaledwie pół kroku od jego nóg. Ale Marian nic nie zauważył, pogrążony w swoich myślach nie poniósł głowy. Po chwili rozległy się komendy naczelnika konwoju, straż NKWD poderwała udręczonych polskich żołnierzy z tej krótkiej chwili odpoczynku okrzykami „podniemaj się, dawaj, dawaj” i po paru minutach zdrewniała z rozpacz ojciec oglądał tylko znikające w dali sylwetki swoich (już byłych) towarzyszy sowieckiej niewoli. Tak więc cudem ocalał, a jakże niewiele brakowało, aby nazwisko Pankiewicz widniało na liście jeńców jak się później okazało obozu w Starobielsku, obok nazwiska Ligaszewskiego, a doczesne szczątki z przestreloną od tyłu głową spoczywałyby do tej pory w zbiorowej mogile polskich oficerów pod Charkowem”. Los uczynił, że tak się nie stało.

Nocami maszerował dalej, bowiem tyłowe wojska sowieckie i oddziały NKWD wylapywały rozbitków polskiej armii.

Po wielu przejściach, skrajnie wyczerpany dotarł na skraj lasu, gdzie znajdował się domek, obserwując dłuższy czas teren i posłyszawszy, że ludzie krzątający się wokół zabudowań rozmawiają po polsku, zdobył się wreszcie na odwagę i poprosił tych zacnych gospodarzy o pomoc. Trafił dobrze. Został wymyty i nakarmiony. Po wielu namowach przebrał się w darowane cywilne ubranie (nie chciał tego uczynić, uważał bowiem, że złożona przysięga i honor oficerski nie pozwalają mu na to). Zrobił to wówczas gdy gospodarz, u którego na Wołyniu to uczynił, obiecał mu, że ten „zrzucony” mundur pieczołowicie przechowa. Zaopatrzony na drogę w żywność, podjął trud dotarcia do żony i syna.

Do domu dotarł dopiero około Wszystkich Świętych. Jego przybycie zostało zarejestrowane 1 listopada 1939 roku przez komendanta już nie Królewskiego Wolnego Miasta Kamionki Strumiłowej, ale „gąroda Kamienio Strumiłowej.”

W domu zastał młodszego brata Staszka, który kampanię wrześniową odsłużył w żandarmerii wojskowej. Nie dał się internować w Rumunii i nie przekroczył wraz z innymi granicznego mostu na Czeremoszu. Staszek był o wiele sprytniejszy od starszego brata i pomógł Frankowi załatwić w NKWD papiery, „paszport i wojenny bilet” ukrywający jego status inteligencki. Jako chłop przetrwał pierwszą falę wywozek do łagrów. Chłopski kamuflaż nie gwarantował mu jednak całkowitego bezpieczeństwa. W miasteczku mieszkało bowiem wielu, którzy znali go osobiście. Ostrzeżony przez dobrą duszę, zaczął ukrywać się przed aresztowaniem w stogach siana czy też słomy, a żona dostarczała mu nocami żywność. Dopiero w czerwcu 1941 roku po napaści Niemiec na ZSRR, mógł się ujawnić i podjąć pracę.

W październiku 1941 roku opuścił własny dom i przesiedlił się z rodziną do Radziechowa koło Złoczowa, gdzie przedwojenna jego przeszłość była nieznaną miejscowym.

W Radziechowie rodzina Pankiewiczów przebywała do stycznia 1944 roku. Gdy zaczął się zbliżać front wschodni w obawie o los rodziny, spakowali do jednej walizki najpotrzebniejsze rzeczy oraz święty obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej i porzucając jak się okazało już na zawsze swój majątek i dorobek pokoleń przodków pozostawiony w Kamionce Strumiłowej, udali się na zachód, na dalszą wojenną tułaczkę.

Ich beznadziejna, dalsza wojenna tułaczka wiodła coraz dalej na zachód przez Rykoszany koło Kielc, gdzie trafili w marcu. Zagrożeni wywózką do Niemiec „na roboty” dotarli wreszcie 1 lipca 1944 roku do Limanowej. Tutaj w styczniu 1945 roku zakończyła się ich wojenna gehenna.

„A czemuż to ojciec wybrał akurat Limanową na miejsce czasowego jak błędnie mniemał osiedlenia?” – stawia pytanie we wspomnieniach syn Marek, który na świat przyszedł w 1949 roku właśnie w Limanowej. To proste, odpowiada. „Wspomniałem już wcześniej, że ojciec dotarł do Limanowej już w 1928 roku podczas wakacyjnych, górskich wędrowek. Przygarnął go wówczas wraz z kolegą tutejszy gospodarz z Mordarki. Był to jedyny człowiek, którego znał ojciec na zachód od Bugu i któremu ufał, że nie odmówi mu jeszcze raz pomocy. Nie omylił się. Po kilkunastu latach przygarnięto go ponownie wraz z całym dobytkiem, czyli żoną i synkiem. Przechowano ich w swym małym domku do końca wojny, czyli prawie rok aż do 19 maja 1945 roku”. (Po latach syn ustalił, że był to, prawdopodobnie dom rodziny Włodarczyka – Mordarka 19).

## **Droga zawodowa**

Po przerwanych studiach prawniczych (1933r), na początek Urząd Skarbowy we Lwowie zatrudnił go w Jaworowie. Wkrótce powraca do Kamionki Strumiłowej, gdzie podejmuje pracę w Urzędzie Skarbowym i zostaje mianowany z-cą naczelnika, pracując na tym stanowisku do czasu rozpoczęcia II wojny. Podczas okupacji zarabia na życie, podejmując różne przypadkowe prace.

Po przybyciu do Limanowej podejmuje pracę w tutejszym Urzędzie Skarbowym, na takim samym stanowisku, jakie zajmował w Kamionce Strumiłowej, gdy opuścił ją w dniu wybuchu wojny, to znaczy zastępcy naczelnika urzędu. W praktyce to on





Przed główną bramą CPN w Sowlinach, byłej rafinerii.



Franciszek Pankiewicz z żoną Ireną na emeryturze.

odpowiadał za jego uruchomienie i zorganizowanie. Zamieszkali początkowo z żoną i synem w domku przy ulicy Ogrodowej. 30 lipca poprosił o przeniesienie służbowe do Gdańska, gdyż w Limanowej nie gwarantowano mu własnego mieszkania. Już 22 września otrzymał za pośrednictwem Izby Skarbowej w Krakowie, dekret ministerstwa o przeniesieniu, tam gdzie prosił. Zdał więc kasę, zwolnił się z pracy i zaczął szykować do drogi. Spakował rodzinę i 31 października wymeldował się z dniem 2 listopada do Gdańska. Aż tu raptem w dniu planowanego wyjazdu, otrzymał z Krakowa restrykt datowany na 29 października, że decyzją Ministra Skarbu został wyznaczony do służby w okręgu administracyjnym Izby Skarbowej we Wrocławiu. Wykonując to ostatnie rozporządzenie, zostawiając rodzinę w Limanowej, udał się do Wrocławia. Zgłosił się w Delegaturze Ministerstwa, gdzie mu powiedziano, że praca na niego czeka, ale musi otrzymać oficjalny, imienny dekret z ministerstwa o przeniesieniu. Wrócił więc do domu schorowany, bo część podróży koleją zmuszony był odbyć na stopniu wagonu w czasie deszczowej zimnej nocy. Oczekując na dekret kierujący go do pracy we Wrocławiu, zwrócił się z prośbą o przywrócenie do poprzedniej pracy w Urzędzie Skarbowym w Limanowej, którym jeszcze tak niedawno kierował. Odmówiono, podając niezrozumiałą przyczynę. Tak więc Franciszek Pankiewicz przez trzy miesiące pozostawał bez pracy i środków finansowych do utrzymania rodziny. Tylko dzięki zaradności żony Ireny udało się przetrwać dwie wojenne zimy: 39/40 i 40/41 oraz tę ostatnią 45/46 roku.

Pozbawiony więc środków do życia, 11 stycznia 1946 roku zdesperowany napisał prośbę o zwolnienie ze służby w administracji skarbowej, zwrócił legitymacje służbowe i nie czekając na odpowiedź, już następnego dnia zatrudnił się na stałe w byłej po francuskiej Rafinerii Nafty w Sowlinach, gdzie też otrzymał wkrótce bardzo ładne willowe, ale puste nieumeblowane mieszkanie. Pracę rozpoczął od stanowiska kasjera. W roku 1948 Franciszek Pankiewicz awansuje na szefa Wydziału Administracji Rafinerii. Z dniem 1 października 1948 roku awansuje na kierownika Oddziału Ekspedycyjnego. Z tą datą rafineria zmieniła nazwę na CPN – Baza Zaopatrzenia Lądowego. Po roku zostaje kierownikiem Sekcji Rachunkowo – Gospodarczej tejże Bazy. Stopniowo awansuje na: starszego dyspozytora, kierownika Sekcji, kierownika Zespołu Obrotu Towarowego, kierownika Magazynów. W końcu w latach sześćdziesiątych powierzono mu funkcję zastępcy kierownika Bazy, którą sprawował do czasu przejścia na emeryturę w 1972 roku.

Wiele barwnych i ciekawych epizodów można by ukazać z życia Franciszka Pankiewicza - Kresowiaka, który dotarł do Limanowej. Przedstawię tylko dwa, ale charakterystyczne.

Na początku lat 50-tych do pracy w CPN zostaje przyjęty Jan Śliwiński, żołnierz, którym to dowodził podczas ćwiczeń wojskowych w 49. Huculskim Pułku Strzelców Górskich w Kołomyi (1937 rok) Franciszek Pankiewicz. Po tylu latach spotkali się, ale już w innej rzeczywistości i w innych rolach zawodowych. Czym zajmował się Jan Śliwiński w zakładzie pracy nie wiadomo, ale wiadomo, że zasłynął w orkiestrze dętej CPN, „Echo Podhala”, grając na największej „bas trąbie”.

Jednym z wielu przeżyć F. Pankiewicza był pożar Rafinerii Czechowice–Dziedzice w 1971 roku. Przyjechali do niego nocą z prośbą czy też rozkazem, żeby wydać wszystkie środki pianotwórcze, własnej CPN-nowskiej straży zakładowej, bo w Czechowicach dzieje się koszmar.

Więc wyraził zgodę. Później musiał tłumaczyć się, że pozbawił swój zakład środków gaśniczych.

Przez 26 lat pracy w Bazie – CPN w Limanowej był bardzo lubiany i szanowany zarówno przez pracowników, jak również dyrekcję w Krakowie.

Franciszek Pankiewicz umiera 19 listopada 1980 roku. W jego pogrzebie uczestniczyła prawie cała załoga CPN w Limanowej.

Towarzyszyła mu także przez całą drogę fabryczna orkiestra dęta, a stary już i schorowany Jan Śliwiński, dawny strzelec górski z plutonu CKM w Kołomyi, nie mógł mu już zagrać na swej olbrzymiej „bas trąbie”, ale przygrywał przez całą drogę na talerzach, starając się w ten sposób oddać hołd zmarłemu, zaś fabryczna syrena żegnała Go swym charakterystycznym basem przez całą drogę od starej kaplicy w Sowlinach, aż na nowy cmentarz komunalny w Limanowej, gdzie spoczął po utrudzonej wędrówce życiowej od Kamionki Strumiłowej do Limanowej.

**Opracował: Stanisław Ociepka**  
**Fotografie: arch. rodziny Pankiewiczów**

*Na podstawie zachowanych dokumentów, zbioru fotografii i przekazanych redakcji „Echa” wspomnień Marka Pankiewicza.*

# Harcerstwo w czasie okupacji hitlerowskiej

Czytając „Echo Limanowskie” opisujące dzieje harcerstwa polskiego przed wojną i po wojnie okazuje się, że brak jest zapisu o istnieniu harcerstwa z czasów okupacji hitlerowskiej. Pragnę uzupełnić tę lukę. To słowa napisane przez Stefana Jemiola w liście, który przekazała redakcji „Echa” Maria Kazimierzczak (Krasuń), harcerka i koleżanka Stefana Jemiola, którego dom rodziny w Limanowej (istnieje do dziś) znajdował się obok domu rodziny Krasuńców. Dziś pan Stefan mieszka w Chorzowie.



Stefan Jemiola.

Na tym obozie musiałem ponownie składać przyrzeczenie harcerskie wg nowej wersji. Przysięgę – przyrzeczenie odebrał osobiście E. Fik w czasie ogniska uroczystego 24 sierpnia 1947 roku. Drużynowym byłem do roku 1948, do czasu zjednoczenia wszystkich organizacji młodzieżowych, które odbyło się 21 lipca 1948 roku podczas Kongresu Jedności Młodzieży we Wrocławiu. Gdy powołano do życia Związek Młodzieży Polskiej (ZMP), był to koniec autonomicznej i samodzielnej organizacji ZHP w Polsce na długi okres. Żegnaliśmy się ze łzami w oczach.

**Tekst i fotografie: Stefan Jemiola**

W roku 1943 powstała drużyna harcerska imienia Zawiszy „Czarnego” Szare Szeregi. Założycielem i drużynowym był późniejszy uczestnik powstania warszawskiego, który z rodziną przyjechał do Limanowej, Janusz Zadarnowski<sup>1</sup>. W drużynie tej byli: Mariusz Zadarnowski - brat Janusza, Mirek Kaczyński<sup>2</sup>, Stefan Jemiola – autor artykułu, Andrzej Skowierzak<sup>3</sup>, Cezary Tomaszek<sup>4</sup>, Maria Krasuń<sup>5</sup> (Kazimierzczak), Barbara Wojtowicz<sup>6</sup> (Hadzewicz).

Nazwa drużyny została przyjęta od drużyny, do której należał w Warszawie Janusz Zadarnowski. Przyrzeczenie harcerskie zostało złożone pod krzyżem na Łysej Górze, a odbierał Janusz Zadarnowski.

Po wojnie z inicjatywy ks. Jana Rachwała i mojej powstała drużyna harcerska przy szkole nr 1 w Limanowej. Drużyna wybrała nazwę Zawiszy „Czarnego” i była kontynuacją działalności z okresu okupacji.

Drużynowym tej drużyny został Stefan Jemiola, wspominający działalność harcerską lat czterdziestych, przybocznym Ar-

tur Struzik, zastępowymi: Roman Młyniec i Łucek Semik (po ukończeniu Seminarium pracował w bibliotece w Watykanie).

Zaraz po wojnie otrzymałem od pani Treli krzyż harcerski i czapkę harcerską z muszelkami i orlim piórem, własność syna Adama harcerza z okresu lat trzydziestych. Kiedy dawała mi pamiątki syna, prosiła, bym godnie je nosił i był wierny prawu harcerskiemu, spełniał dobre uczynki dla potrzebujących pomocy.

W roku 1945 zaraz po wojnie ks. Rachwał harcmistrz ZHP w Limanowej wysłał mnie na obóz szkoleniowy instruktorów harcerstwa organizowany przez Komendę Chorągwi Harcerzy w Krakowie. Zgrupowanie obozów szkoleniowych było w Szklarskiej Porębie. Wyjazd na obóz nastąpił z dworca kolejowego Kraków – Płaszów wagonami towarowymi. Zgrupowaniem dowodził Eugeniusz Fik harcmistrz Komendant Chorągwi ZHP Kraków. Komendantem naszego podobozu został harcmistrz Piłiński (Szpicbródka, nosił brodę uformowaną na szpic).

<sup>1</sup> Janusz Zadarnowski, uczestnik powstania warszawskiego, „pseudonim” Ratold, Henryk był łącznikiem w oddziale Bończa Stare Miasto Śródmieście. Po wojnie w 1945 roku wyjechał wraz z bratem i matką do Stanów Zjednoczonych, gdzie przebywał ich ojciec. Ukończył studia budowy samolotów. Brat Mariusz zaś studia budowy dróg i mostów, zamieszkał w Kanadzie.

<sup>2</sup> Mirek Kaczyński wraz z rodziną zamieszkał w Zabrze.

<sup>3</sup> Andrzej Skowierzak mieszka w Oleśnicy.

<sup>4</sup> Cezary Tomaszek przez wiele lat interesował się grą na instrumentach, prowadził chór męski przy limanowskim kościele, jeden z nielicznych, który pozostał do końca swojego życia w Limanowej.

<sup>5</sup> Maria Krasuń (Kazimierzczak), siostrzenica ks. ppłk. Józefa Jońca po szkole wyjechała do Warszawy, gdzie przez wiele lat pracowała w zawodzie nauczyciela. Obecnie powróciła do miasta rodzinnego Limanowej.

<sup>6</sup> Barbara Wojtowicz (Hadzewicz) córka kapitana, który pracował na stanowisku szefa Wojskowej Komendy Uzupełnień w Limanowej. Kiedy wybuchła wojna z rodzicami wyjechała z Limanowej.



# Droga do wolności

Zofia Wiśniewska

Lubomierz - długa, duża i ludna wieś w powiecie limanowskim zamieszkała przez Zagórzan. Założona przez Sebastiana Lubomirskiego w 1600 roku przez długie lata, ze względu na oddalenie od miejskich ośrodków i ukształtowanie terenu, była ostoją zbójników. Wieś dzieli się na 2 części: Górny Lubomierz sięgający do Przysłopu i Dolny. Przysłopem przebiega dział wodny. Z prawej strony góry wody spływają do Dunajca, z lewej do Raby. Przed II wojną światową, a nawet przez pewien czas po niej o Lubomierzu mówiono, że to już prawie koniec świata. Wszędzie było daleko. Piękne widoki i lazurowe niebo nad głową można podziwiać, lecz wyżyć się z tego nie da. Mimo braku perspektyw, uparta, zaprawiona w trudach ludność trwała tam, wydzierając ziemi to wszystko, co tylko mogła jej ofiarować, byle tylko wykarmić z reguły liczne rodziny. Co się dało w gospodarstwie „przychować”, sprzedawano w Mszanie Dolnej, by za otrzymane pieniądze kupić niezbędne do życia produkty, buty czy przyodziewę. Mszana Dolna była dla Zagórzan „wielkim światem”. Spora część mieszkańców Lubomierza poza nią niewiele widziała. Trudność polegała na tym, że nawet do Mszany Dolnej ciężko się było dostać, bo brakowało drogi. To, co nazywano drogą, to były zwykłe koleiny wyłobione przez koła furmanek. Gdy gospodarz miał konie, to w letniej porze pokonał ten odcinek 15 - 20 km dzielący Lubomierz od Mszany. Gorzej było wiosną lub późną jesienią. W czasie opadów i roztopów droga rozmiękła i koła grzęzły po osie. Dodać jeszcze należy, że nie wszyscy mieszkańcy mieli konie. Ich brak trzeba było zastąpić własnymi nogami. Mimo niedostatku mieszkańcy byli ludźmi pogodnymi, lubiącymi się czasem zabawić, zaśpiewać, a gdy przyszła taka potrzeba, to i pomóc biedniejszym od siebie.

W tej rozległej wsi były 3 szkoły realizujące program I - IV. Na tym poziomie kończyła się w większości edukacja miejscowych dzieci.

„Rządy nad duszami” sprawowało dwóch kapłanów - ks. proboszcz Edmund Dulik i wikariusz Marceli Leja, a do pomocy był bracia zakonny Tomasz Pilch, który przygotowywał również posiłki dla księży. Ksiądz proboszcz, wspinały kapłan, „krótko” trzymał wiernych, ale na-



Tradycyjne obchody Odpustu Partyzanckiego. Święto I Pułku Strzelców Podhalańskich - Szczawa 1983 r.

uczał najważniejszych rzeczy - dzielenia się z najbardziej potrzebującymi, udzielania wszelkiej pomocy bliźnim, miłości i szacunku do tego, co polskie, ojczyście, do kraju, który ma imię POLSKA.

Długoletnie starania duszpasterza zaowocowały w czasie wojny i po jej skończeniu.

II wojna światowa nadchodziła milowymi krokami, ale mieszkańcy Lubomierza nie zdawali sobie z tego sprawy. Nie czytali żadnej prasy, a jedyne radio tranzystorowe miał tylko ksiądz proboszcz i on to zaczął z ambony mówić o obowiązku obrony Ojczyzny, o powinnościach wobec niej, o wrogu, który jej zagraża. Inne sprawy dla lubomierzan były bardzo odległe.

O nadchodzącej katastrofie dowiedzieli się w czasie jarmarków w Mszanie Dolnej od „uciekierów”, którzy w większości furmankami zaprzężonymi w zmęczone konie gnali gdzieś „przed siebie”, byle dalej od wojny. Bardziej zasobni uciekierzy przemieszczali się pociągami, a nieliczni autami.

Niedługo po uciekinierach zaczęli wracać powołani do wojska mężczyźni, którzy zostali wcieleni do polskiej armii, a także zawodowi wojskowi. Front się załamał, a oni w mundurach i z bronią pojawiali się w rodzinnych stronach.

Zaczął się wrzesień 1939 r. i za kilka dni doszło do bitwy Niemców z Polakami w Kasinie Wielkiej „Na Przymiarkach”.

Odgłosy potyczki słyszano w Lubomierzu. Po obu stronach byli zabici i ranni. To już była wojna z jej całą grozą.

Wróg szybko zorganizował swoją administrację, narzucił prawa, których nie wolno było przekraczać, bo za każde przewinienie groziła najwyższa kara - śmierć, a potem doszły jeszcze obozy koncentracyjne. Kontyngenty, klasyfikacja i kolczykowanie bydła, obowiązkowe dostarczanie mleka, podwozy konne, wywózka do przymusowych prac w Rzeszy i inne ciężary spadły na mieszkańców Lubomierza, podobnie jak na resztę podbitego kraju.

Lubomierzanie zagrzewani gorącymi słowami bohaterskiego księdza postanowili się „nie dać”. Wówczas jeszcze nikt nie przypuszczał, że pożoga wojenna obejmie szmat świata i będzie trwała tak długo.

Prawie bezpośrednio po przesunięciu się frontu zaczęła działać konspiracja. Organizował ją przedwojenny oficer Władysław Szczypka z Mszany Górnej, który po powrocie z kampanii wrześniowej zamieszkał w rodzinnej wsi.

Był to w pewnym sensie przymusowy wybór, bo niemieckie służby wnet wpadły na jego trop i zaczęły go poszukiwać. Rodzina, a także mieszkańcy wsi nagabywani przez policję lub tajnych agentów utrzymywali, że nie wrócił z wojennej wyprawy. On zaś, znając dobrze pobliskie lasy i góry, tajemne przejścia i leśne ścieżki, zniknął.



Szczyпка zaczął gromadzić wokół siebie dawnych wojskowych, a także ludzi, którzy z różnych względów (przeważnie politycznych) musieli ukrywać się przed Niemcami. Pozyskiwał także do współpracy chętnych mieszkańców wiosek znających układy sąsiedzkie, odpornych na namowy szpicli, którzy zaczęli się pojawiać, zadawać pytania i węszyć. Miejscowi przebywający wśród swoich wiedzieli wszystko, co się dzieje we wsiach, poruszali się pewnie, nie musieli się ukrywać, zatem ich pomoc była bezcenna.

Ludziom ukrywającym się przed wrogiem potrzebne były bazy, w których mogli się zatrzymać, posilić, odpocząć. Pierwszą taką bazą była baczówka „Lytrowa Polana”. Tam „leśni” ćwiczyli posługiwanie się bronią, poznawali tajemnice gór i obmyślali podstępne sposoby walki z wrogiem potężnym i groźnym. Wielką ilość ukrywających się ludzi trzeba było wykarmić, zapewnić jej odzież i przygotować do akcji dywersyjnych, dotkliwych dla wrogów, ale nie ściągających odwetu na niewinnych mieszkańców.

Ksiądz proboszcz z ambony zwracał się do wiernych z apelem o dostarczanie żywności dla podziemnego wojska. Prosił o chleb, kasze, orkisz - słowem o to wszystko, co potrzebne do utrzymania przy życiu. Gromadził ciepłą odzież, skarpety, rękawice, swetry wyrabiane przez pracowite góralki.

Zacny duszpasterz miał najnowsze zagraniczne wiadomości podawane drogą radiową. Radio przemyślnie ukryte w fisharmonii w kościelnym chórze, przekazywało wieści o poczynaniach Niemców i sytuacji w świecie.

W ciągu tygodnia podczas „cichych” mszy nie używano fisharmonii i wówczas proboszcz polecił przenieść ją na plebanie twierdząc, że lubi sobie zagrać, by nie wyjść z wprawy. Nocną porą przemyciły na plebanie jakieś cienie, a

we wsi ujadły psy. To „leśni” przychodzili, by zabrać przyniesiony przez mieszkańców prowiant, a przy okazji posłuchać zagranicznych audycji. Patriotyczna działalność zakończyła się tragicznie dla księdza Dulika i jego wikariusza. Ktoś usłużny (a może podstawiona „wtyczka”) doniósł o wszystkim władzom niemieckim. W nocy z soboty na niedzielę 4 lipca 1941 r., kiedy obowiązkową wartę pełnił ojciec opowiadającego te wydarzenia, wojsko niemieckie przybyło do Lubomierza. O godzinie 2 obstawiło drogę prowadzącą do kościoła, zaczęło budzić ludzi z okolicznych osiedli i sprowadzać ich na plac przykościelny. Tam kazano im położyć się „krzyżem” na ziemi i leżeć. Krzykiem usiłowano wymusić od nich stwierdzenie, że we wsi przebywają „obcy”. Nikt tego nie potwierdził, bo na szczęście żadnych „obcych” nie było. Gdyby się znaleźli, nastąpiłaby pacyfikacja przynajmniej części wsi.

W tym samym czasie operacyjna grupa Niemców wpadła na plebanie. Wywleczono z łóżek kapłanów. Zaczęto ich przesłuchiwać i bić, przymuszając do potwierdzających odpowiedzi na zadawane pytania. Przeszukano od strychu po piwnice najmniejszy zakamarek plebanii. Kapłani nie przyznali się do żadnej działalności, nie zdradzili nikogo. Nie było też żadnych zapasów żywności (tylko tyle, ile potrzeba do wyżywienia trzech osób przez parę dni). Nie znaleziono też „zakazanego” radia, które wraz z fisharmonią przeniesiono w sobotę do kościoła na chór. Na szczęście rewizji w kościele nie było. Nikt nigdy nie dowiedział się, gdzie była przechowywana konspiracyjna prasa i różne tajne wiadomości.

Nie pomogły krzyki i bicie, kapłani nie powiedzieli nic. Rolę tłumacza pełnił wójt gminy Niedźwiedz - Zapala, który mieszkał w Lubomierzu i znał j. niemiecki.

O godz. 13 pozwolono ludziom wyjść „za potrzebą”. Wielu udało się zbiec. Bardzo bojaźliwi wrócili. Pokrwawionych księży przywiązano do terenowego samochodu i zmuszono do biegu za autem do Mszany Dolnej (15 km). Budynek plebanii oblan benzyną i podpalono. Ponieważ płomień ledwo „lizął” twarde drewno, wrzucono jeszcze 2 granaty. Partyzanci słyszeli ich wybuchy, ale nie mogli przyjść z pomocą, bo to pogorszyłoby sytuację.

Proboszcz zginął w Buchenwaldzie, wikariusz przeżył obóz koncentracyjny w Austrii. Po wojnie odwiedził incognito Lubomierz. Nie chciał jednak rozmawiać z mieszkańcami.

Po odejściu Niemców mieszkańcy rzucili się do gaszenia pożaru, który na szczęście nie objął kościoła i stojącej obok XVIII - wiecznej kaplicy o zrębowej konstrukcji. Na plebanii spalił się tylko dach. Potem miejscowi cieśle dla nowych kapłanów wyremontowali stojącą obok stajnię.

Ten tragiczny wypadek nauczył mieszkańców wsi jeszcze większej rezerwy do każdego obcego, a nawet do nie sprawdzonego „swojego”. Ostrożności i nieufności uczono dzieci od najmłodszych lat. Takie były czasy. Nikt niczego nie słyszał, ani nie widział. Każdy starał się zabezpieczyć przed wrogiem, co tylko było można. Np. Sebastian Kołodziejczyk, wiejska „złota rączka” schował szkolne flagi narodowe, książki z biblioteki, a nawet kościelną sygnaturkę. Żałował, że nie udało mu się uratować dużego dzwonu, który okupant podstępnie zdobył.

Wymieniony pomagał bardzo „leśnym”, wykonując różne tajne misje, a czynił to tak, że nawet najbliższa rodzina nie zdawała sobie z tego sprawy. Wiele tajemnic zabrał ze sobą do „lepszego świata”.

Wiele dla konspiracji robił także ojciec Jana Jarosika (wspominającego tamte wydarzenia), który w owym czasie był



sołtysiem, co czyniło jego działalność znacznie trudniejszą. Należało ciągle mieć się na baczności, bo niemieckie „wtyczki” i konfidenti poczynali sobie coraz śmielej. Wystarczyła chwila nieuwagi, nieopatrne słowo i nieszczęście gotowe.

Partyzancki oddział Władysława Szczypki bardzo się rozrósł i zaszła konieczność przeniesienia go do większej bazy w rejon Mogielicy – „Na Stawieniec”. Na Stawieńcu były specjalne zabudowania, gdyż tam wypasano bydło zarodowe. Zimą pomieszczenia zaopatrzone w siano służyły partyzantom. Można tam było nocą gotować posiłki, bo nie było widać dymu.

Partyzanci gorczańscy należeli już do wielkiej organizacji wojskowej AK (1942 r.). Przeważnie nocami przeprowadzali zbrojne akcje. Wyszadzali mosty i pociągi wiozące amunicję na front (w ten sposób zdobywali broń). Tak zniszczyli mosty w Chabówce i Kasinie Wielkiej. Odbijali wywożone kontyngenty, wyzwali ludzi wiezionych do robót w Niemczech, często schwytanych w łapankach, wymierzali kary za współpracę z wrogiem, niszczyli listy kolczykowanego bydła – słowem dawali się mocno we znaki okupantowi.

Kłęska Niemców pod Stalingradem podniosła Polaków mocno na duchu, bo chociaż wróg był jeszcze bardzo silny, to zaczęły się mnożyć jego klęski, które w efekcie doprowadziły do wielkiej przegranej.

Może pod wpływem tych radosnych dla Polaków wieści osłabła nieco czujność partyzanckiego oddziału Szczypki. Pewnego dnia w Lubomierzu w pobliżu kościoła pojawili się jacyś obcy ludzie. Niby niczym się nie różnili od mieszkańców. Tacy sobie zwyczajni cywile, tyle tylko, że lepiej ubrani od miejscowych. Pokręcili się trochę po osiedlu i potem zatrzymali kilku lubomierzan.

- Halt, halt - i łamaną lub udawaną polszczyzną zaczęli zadawać pytania: imię, nazwisko, adres, a potem zatrzymali czterech mężczyzn, wzięli ich w środek i kazali iść za sobą. Byli, jak się okazało, uzbrojeni, więc opór, by się na nic nie zdał. Wśród zatrzymanych znalazł się również Stanisław Jarosik. Obcy czuli się pewnie w Lubomierzu, nieomal jak jego mieszkańcy. Cywile prowadzili przez osiedle Guzary, w górę Rosochy, a potem zamiast przejść przez kolejne osiedle Koziry, skręcili w stronę lasu i bardzo kamienistym i ciężkim podejściem wyprowadzili na polanę Podskąły. Po jej minięciu polecili zatrzymanym odsunąć ziemię. Gdy to uczynili, ich oczom ukazały się zwłoki zabitego człowieka.



Zygmunt Joniec pseud. „Zyg” (pośrodku, patrzy w kierunku fotografa), dowódca placówki bojowej AK „Ligas”, później „Browar-Centra” obejmującej Limanową i okoliczne wsie.

Mężczyźni musieli sporządzić nosze, wyścielić je gałęziami, ułożyć zmarłego i odbyć z nim drogę powrotną aż do kościoła, przy którym czekała już furmanka, która odjechała do Mszany Dolnej. Mężczyznom surowo przykazano, by pod karą śmierci nikomu nic nie powiedzieli. Zachowali dyskrekcję, aż do końca wojny. Zresztą nie znali ofiary. Jednego tylko byli pewni – musiał to być ktoś „znaczny”, że go przewożono.

Rozwiązanie zagadki przyszło potem. W domu rodziny Władysława Szczypki pojawili się dwaj cywile i zabrali z sobą jego brata do kostnicy w Mszanie Dolnej. Tam pod lufami pistoletów kazali potwierdzić, że leżący człowiek to jego brat. Poznał go po znamieniu na twarzy, ale dla swojego i rodziny dobra nie potwierdził tego. Prawie nieprzytomny ze strachu, mokry od potu, zaprzeczył. Puścili go wolno przykazując, by nikomu „ani słowa”.

Wkrótce rodzina Szczypków otrzymała tajną wiadomość o śmierci kapitana. Zginął rzekomo przy przeglądzie broni. Miał to być nieszczęśliwy wypadek. Z innych źródeł wynikało, że do organizacji zaplątała się „wtyczka”. Krewni kapitana nie uwierzyli w przypadek. Ta tragedia nigdy nie została wyjaśniona.

Niemcy liczyli na rozpad oddziału partyzanckiego po tragicznej śmierci kapitana. Nic takiego się nie stało. Był to już nie oddział, lecz potężna armia ludzi z wyszkolonymi dowódcami. Wnet obok polskiej, rozwinęła się partyzantka rosyjska. Biedni mieszkańcy Lubomierza i okolic wykarmili wszystkich.

Partyzanci wykonywali wyroki na zdrajcach narodu, urzędnikom zbyt aktywnym

nie pracującym dla Niemców wymierzali zapobiegawczo chłostę, podobnie targownikom prowadzącym ścisłą ewidencję kolczykowanego bydła, buchalterom dokonującym zbyt skrupulatnych naliczeń kontyngentów (zboża, ziemniaków, mleka). Udzielane „nauczki” były skuteczne, bo następnego spotkania z „leśnymi” można było nie przeżyć.

Niemcy przyczajeni na razie nie rozpoczęli większych akcji, ale była to bezczynność pozorna. W tajemnicy przygotowywali plan odwetowy. Opierając się na donosach konfidentów zgromadzili duże ilości wojska i postanowili zaatakować domniemane rejon koncentracji oddziałów partyzantów. Na szczęście mimo niemieckiej skrupulatności i zdawałoby się doskonałej organizacji, „leśni” też mieli sprawdzone źródła wiadomości i potrafili się zabezpieczyć.

Kiedy wojsko niemieckie ruszyło w rejon przewidzianej koncentracji oddziałów partyzanckich, by je otoczyć i rozbić w nierównej walce, z wykorzystaniem lotnictwa i ludności cywilnej jako żywych tarczy, stała się rzecz niezwykła. Niemcy ruszyli od Rzek, Podskął, Kudłonia, a nawet Koniny. Słychać było odgłosy strzałów, warkot samolotów, huk bomb wybuchających nad Gorcem i Turbaczem, ale nikt im nie odpowiedział. Góry i lasy milczały.

Samoloty odlatywały i wracały z nowym ładunkiem bomb, lecz żadnego odwetu nie było. Zmęczeni ciężkimi podejściami żołnierze, nie znajdując oporu, usiedli na stokach, uzupełniając swe nadwątłone siły suchym prowiantem. Partyzanci mimo ich ogromnej ilości, przepadli.



Siew kapitana Szczyпки zaowocował. Szkoda, że nie mógł tego zobaczyć.

Potem dla Niemców, choć ciągle silnych, było już tylko gorzej. Przegrywali na wielu frontach.

W Lubomierzu ciągle jeszcze była uzbrojona straż leśna, która pilnowała, by każdy właściciel konia już o 4 rano wyjechał po drzewo do lasu. Tylko zimą można było je przetransportować saniami do Mszany Dolnej. Każdy właściciel konia miał wyznaczoną ilość drewna do przewiezienia. Za to otrzymywał kilkadziesiąt okupacyjnych złotych, litr wódki i przy dobrych układach drewniaki. Ten zarobek naturalnie nie starczył na utrzymanie konia, ale cóż było robić. Straż leśną kierował Niemiec - Weis. Mieszkał w osiedlu Pajdziki, gdzie znajdowała się siedziba straży. Z karabinem, pewny siebie, rano wychodził do lasu, a wracając obserwował go, chcąc zobaczyć nad nim dym, znak, że partyzanci gotują posiłki. Potem wstępował do domów wypytyjąc, gdzie były we wsi bójki, co gospodyni gotuje i dla czego do kapusty nie dodaje sadła? Gdyby potwierdziła, że dodaje, to miałby dowód, że ktoś prowadzi nielegalny ubój. Nawet gnojowisko sprawdzał, czy nie czuć go świńskim nawozem.

Szukał żaren, otwierał piece piekarskie, zadawał podchwytliwe pytania i obrażał „głupich” Polaków. Pewnego dnia nie wrócił z obchodu. Znalaziono go z poderżniętym gardłem pod Przysłopem. Inni pracownicy leśni „dostali manto” i nad Lubomierzem słońce zaświeciło jaśniej. Rodzina Dawcy (gajowego), niczego naturalnie nie widziała. Represji, na szczęście, nie było.

Tymczasem na polanie Figurki, na zachodnim zboczu Kudłonia powstało „zrzutowisko”. Przylatywały samoloty angielskie, startujące z Włoch, a potem radzieckie i dokonywały zrzutów - ludzi, broni, lekarstw i różnych potrzebnych materiałów. Drugie zrzutowisko, mniejsze było na zboczu Mogielicy. Mieszkańcy nauczyli się po warkocie odróżniać pochodzenie maszyn. Akcje były tak doskonale dopracowane, że nie zdarzył się żaden wypadek lub „wsypa”. Samoloty lądowały, startowały, a czasem tylko obniżały lub spowalniały lot, by dostarczyć ładunek, zabrać kogoś lub coś i już ich nie było. Partyzanci w mgnieniu oka gasili ogniska, likwidowali ich ślad, zabierali „dary” lub ludzi i wyglądało tak, jakby przed chwilą nic się nie wydarzyło.

Pod Kiczorą była nawet „szwalnia” mundurów „na miarę” dla polskiego wojska, szewcy wykonywali solidne buty, a góralki robiły ciepłe swetry i skarpety. Pod Kiczorę nigdy nie dotarli Niemcy. Aby zdobyć skórę na podeszwy, „leśni” zabrali z tartaku w Szczawie pasy transmisyjne. Niestety kolejny manewr już się nie udał, bo następnie zamontowano pasy parciane.

Partyzanci ukrywający się w Gorcach prowadzili akcje nawet na terenie

*Wspomnienia P. Jana Jarosika, kiedyś mieszkańca Lubomierza, zapisała Zofia Wiśniewska. Pan Jan Jarosik - zasłużony architekt, specjalista od spraw budownictwa lądowego i przemysłowego, projektant mostów, budowniczy Kombinatu Cementowo-Wapniowego „Kujawy”, ropociągu „Surdut” w północnej Syberii i wielu innych inwestycji w kraju i za granicą mieszka w Bydgoszczy. Utrzymuje kontakt z „Orkanowcami” (koleżankami i kolegami, z którymi zdał maturę w I Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej w 1951 r. W tym roku mija 60. rocznica tego wydarzenia).*

Czech i Słowacji. Byli wspaniale przygotowani i wyszkoleni bojowo. Często organizowali wypadki z Kurasiem („Ogniem”) przeważnie bez strat.

Mieszkańcy zaczęli czuć się bezpiecznie, bo w Mszanie Dolnej AK powołało organizację cywilną „dwójkową”, która przekazywała informacje jedynie jednej - trzeciej osobie mającej kontakt z następną dwójką. W ten sposób trzymano mieszkańców w ryzach, bo nikt nie wiedział, kto do czego należy. To zdyscyplinowanie zapewniało względny spokój, a często przestrzegało przed nieszczęściem. W walce o życie i byt minęła okupacja. Niektórzy nie mogli się pogodzić z nową rzeczywistością i kontynuowali podjętą działalność z nowym układem. Bywało, że tracili życie jak np. „Cichy” (Andrzej Złydasik).

Wyczekiwana wolność - nie była tą wysnioną w czasie mrocznych wojennych lat. Wszystko się wolno normalizowało, ale, niestety, znów na obcych warunkach. Zaangażowani AK-owcy nie chcąc ryzykować skutków ujawnienia się, opuścili okolice Gorców. Wyjechali na Ziemię Odzyskane, aby zgubić po sobie ślad. Przez wiele lat nie odwiedzali rodzinnych miejscowości, nie przywozili do krewnych swoich dzieci. Poniewierka, walka za sprawę, za wolną Polskę nie znalazła zrozumienia u ówczesnych władz politycznych, dla których byli wrogami.

Na rehabilitację trzeba było czekać wiele lat. Większość nie doczekała. Smutne, ale prawdziwe. Trudno o tym pisać, a nawet myśleć.

Mieszkańcom Szczawy byli partyzanci za bohaterską postawę, za bezgraniczne oddanie, za wyżywienie takiej armii ludzi, za serce - zbudowali po wojnie uroczy, drewniany kościółek, bo nie mieli żadnego. Należeli do parafii w Kamienicy. Teraz mają nowy, wspaniały, nowoczesny, ale tamten wyrósł z wdzięczności i dlatego był tak drogi. Przyjeżdżali do niego byli partyzanci z dalekich stron, by podziękować Bogu i ludziom za pomoc w tragicznych czasach.

*Fotografie: arch. rodziny Mamaków*



# Wybierz Konto dla Ciebie!

# ZŁ

**za:**

- o otwarcie rachunku
- o wpłaty i wypłaty z konta
- o przelewy wewnętrzne
- o wydanie karty płatniczej do rachunku
- o dostęp do bankowości elektronicznej
- o korzystanie z SMS Banking – miesięcznie

## Konto ROR Standard

zapewni Ci wysokie standardy obsługi.

## Konto ROR Optimum

to optymalne rozwiązanie dla aktywnych.



psb

# Centrum Budowlane

# IMPULS®

PRZEDSIĘBIORSTWO  
FAIR PLAY

ISO 9001

Sp. z o.o.

ul. Piłsudskiego 14c • Limanowa  
tel. 18 33 74 127



[www.HplusH.pl](http://www.HplusH.pl)

# H+H

beton komórkowy

[www.impuls-psb.pl](http://www.impuls-psb.pl)